



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta

kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-

wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebów i Spół., kwartal. 5 marek

WYCHOWANIE.

II.

Wiedza dobrego i złego wyrabia się w człowieku przez wychowanie. Dziecko najmłodsze, patrząc na życie rodziców, dochodzi z konieczności do zrozumienia tej rzeczy, że jest na świecie dola i niedola, a na jakich warunkach istnienia oprze sobie tworzące się w umyśle młodym rzeczy tych pojęcie, to stanie się przewodnią gwiazdą jego życia—ideałem, ku któremu zwracać się będą pożądanja i nadzieje człowieka. Ma on prawo szczęścia pragnąć, ma prawo dążyć do niego i nie jest to bynajmniej uczuciem karygodnem, uczuciem samolubnem, byle tylko szczęścia tego pojęcie nie opierało się na niskim jego istoty zrozumieniu. Ukochania szlachetne, miłość rzeczy dobrych w piersi nosić, jest to sztuka pozyskania szczęścia bez winy poniżających o nie zabiegów. Kto umie brać do serca sprawę życia nie poziomie—kto życia tego podstawą czyni nie materyalne tylko zadowolenie, nie tryumfy próżności, interes osobistego wyniesienia, ten nie dojdzie nigdy w biegu życia do zwątpienia o Bogu, o człowieku. W sercu jego mieszkać może coś szczęścia, coś uczuć tkliwych i słodkich, które szczęście dają. Prawdą jest aforyzm ten stary, że najniebezpieczniejszym na świecie człowiekiem jest egoista, bo nikt go nie kocha, lecz naodwrot wierzyć trzeba i wierzyć można, że dobrzy, uczciwi ludzie posiadają zawsze coś szczęścia, pozyskanego przez miłość ludzką, przez szacunek ludzki a szczególnie i przede wszystkim przez własnego serca zadowolenie, przez własne, szlachetne szczęścia poję-

cie. Ten mędrzec grecki, który mówił, że całe mienie swoje przy sobie nosi, myślał o takim majątku człowieka — o skarbach, których ogień nie spali, woda nie zabierze.

Wychowanie może zatem coś trwałego szczęścia człowiekowi zapewnić — fundament niezachwiany pod budowę doli jego podłożyć; nie starczą przecież na to słowa i nauki, choćby najwznioślejsze, jeżeli życie otaczające młodość, więc będące mu życia szkołą, kłam zadawać temu będzie. Postępowanie rodziców jest dla dziecka jakoby zwierciadłem, w którym odbijają się pierwsze życia obrazy, dając też młodemu umysłowi pierwsze o niem wyobrażenie—pierwsze pojęcie tego, co nazwie sobie złem, lub dobrem: dolą lub niedolą człowieka. Rodzice ubodzy, którzy do majątku, jak do szczytu swych pragnień wzdychają; rodzice bogaci, którzy uboższymi od siebie gardzą, którzy ich lekceważą—to zaszczipiona w dziecku część złego ciela, to wyrobiony w niem wstyd ubóstwa i tak-to istoty młode uczą się mieścić godność ludzką w kieszeni, tak-to ideałem ich życia staje się pieniądz, pierzcha więc i ucieka przed wzrokiem wszystko, co jest dla szlachetnej ludzkości pięknem i szczytnem. Dopowiadają też potem dzieje: z kąd są zdrajcy i złodzieje—z kąd się biorą te istoty lichy, żyjące w grobach pobielanych bez żadnych szlachetniejszych aspiracji: bez miłości bliźniego, bez miłości idei, z piersią na miarę krawca, nie Fidyasza.

Ukochanie grosza, to uczucie najniebezpieczniejsze ze wszystkich stanów serca ludzkiego, wytwarza się przeważnie tym sposobem i nie w wychowaniu gorszem być nie może, nie tak nie usuwa zprzed wzroku młodości, wyższych życia celów, jak rodzicielski wstyd ubóstwa i sztuczne przed okiem ludzkim maskowanie braków majątkowych, jakoby winy, która wtedy jedynie być tu może, jeżeli zasoby nasze zmarniały przez leniwa niedbałość, zostały rozproszone przez życie nad stan

wiedzione, zwykle dla zadowoleń niskiej próżności, jeżeli nie dla karygodnego używania, i gdy wychowanie da poznać istocie młodej wyższe nad to rozkosze, wyższą, na innych skarbach życia opartą godność, gdy mu wykaże, że godność ta nie mieści się w kieszeni—stanie się to niewątpliwie dobrem przygotowaniem do życia, wiedzonego szlachetnie, opierającego się na podstawie celów podnioslejszych, niżeli posiadanie takiego a takiego worka dukatów, lub trzygroszniaków. Każdy człowiek ma w głębi swojej stróża praw moralnych: sumienie, ale i ono potrzebuje odpowiedniego wykształcenia, które od dzieciństwa prowadzić się powinno i prowadzi się też nawet wtedy, gdy wychowanie celu tego wyraźnie sobie nie stawia. Oprócz tego, co zwiemy instynktem uczciwości, instynktem dobra w człowieku, a na który składają się wiekowe prace poprzedników naszych na ziemi—tradycja,—panuje wśród społeczeństw cywilizowanych pewna atmosfera moralna, która pomaga nam żyć, lecz wychowania to jest zadaniem związać myśl młodą z ideą ludzkości szlachetną, rozbudzającą święte iskry zapалу dla cnoty, szacunku dla dobra, a wstrętu i pogardy dla złego.

Istnieje paradox niebezpieczny, przez George Sand'a w obieg myśli ludzkiej puszczony, że wszystko poznać, to wszystko przebaczyć... Wszystko poznać to wszystko zrozumieć dokładnie, jakimi drogami idzie się do celów wzniosłych, jakimi drogami dochodzi się do upadku przez słabość charakteru, przez niebezpieczne bratanie się ze złem i osvajanie się z niem wtedy mimowolne, przez zacierający się w nas zwolna wstręt do złego, wstyd złego i od tego to zaczyna się dla człowieka ta epoka obojętności moralnej, poniżająca może ciężej niżeli złe samo, bo jest to już chłodny cynizm, i dlatego apostoł woła na człowieka:—Bądź zimnym, albo gorącym!.. Wychowanie nie może pozwolić na stan taki i do najważniejszych jego zadań jest

wyrobień w istocie młodej uczuć, przekonania silnych, które, idąc z człowiekiem przez życie, stanowiąc będą jego straż obronną przeciwko bijącym nań mocom namiętności, mocom świata rozmaitym. Przytem młodość tylko bardzo nędzna, bardzo limfatyczna, przy takiej obojętności utrzymać się może i gdy wychowawca nie rzuci w pierś wychowanka iskry, któraby tam roznieciła ogień zapалу dla dobra i piękna moralnego, dla cnoty górnej, może się lękać nie bezpodstawnie, że nie zużyte siły uczuć gorętszych, które są przyrodzonym stanem młodości, rozżarzają się w niepożądane namiętności, w niepożądane uniesienia i tak-to tracą rodzice przewodnictwo duchowe nad młodzieżą, tak-to młodzież ta odrywa się od rodziców moralnie i idzie przedcześnie w życie o siłach własnych. Trzeba dać ujście rozumnie obmyślane porywom młodości, kierując nie mi szlachetnie i umiejętnie, tworząc niejako ich gatunki przez podsuwanie myśli, przez rozbudzanie i zwracanie uczuć w kierunkach pewnych.

Przykłady z życia ludzi wyższych, przykłady bezinteresownej cnoty, poświęcenia się dla idei, dla celów dobra ogólnego i uczciwych ukochań człowieka—to ważny bardzo środek działania w wychowaniu moralnem młodzieży. Pedagog francuski, dyrektor akademii w Poitiers M. Causeret, wpadł na bardzo szczęśliwy pomysł zapisywania w aktach szkolnych wszystkich wznioślejszych czynów odwagi i poświęcenia, spełnionych przez uczącą się tu młodzież. Zasięgając co do tego zamiaru rady swych współtowarzyszy w pracy nauczycielskiej, otrzymał on niemal od wszystkich odpowiedź dla pomysłu swego przychylną. Jeden z zapytywanych odpisał, że „chęć pozyskania sobie uznania ludzkiego, chęć pochwały, jest uczuciem człowieka naturalnem, dobrym żywiołem stosunków towarzyskich, i należy je raczej rozwijać w młodzieży, niżeli zwalczać. Godzi się też wychowaniu korzystać z tej wrodzonej ambicji człowieka w dążeniu do chluby, aby natchnąć młodość miłością tego, co jest dobre“.

Odpowiedź inna, zgadzająca się też na poglądy Causeret'a, mieściła w krótkości bardzo ważną uwagę, że „najlepszą definicyą cnoty dają obrazy życia ludzi szlachetnych“, że zatem „najskuteczniejszym sposobem nauczania uczciwości, dzielności męskiej, odwagi, abnegacji, poświęcenia, jest cześć oddawana tym, którzy zostawili cnot tych przykłady“. Wskutek tego uznania dla zamiaru swego Causeret, przedstawił ministrowi oświecenia projekt, aby każda szkoła francuska otrzymała marmurową tablicę i księgę honorową, gdzieby czyny szlachetne tak uczącej się młodzieży, jak dawnych jej uczniów, każdy akt cnoty obywatelskiej, obywatelskiej pracy szlachetnej, każde jej nagrodzenie Krzyżem Legii Honorowej, było ryte i zapisywane, równie jak wspomnienie pośmiertne, jeżeliby życie zostało oddane ofiarniczo usługom Francji—było życiem dostojnego człowieka i dobrego Francji tej syna“.

Że takie zwracanie myśli młodej w kierunku szlachetnych dążeń ludzi uczciwych, ludzi poświęcających się idei dobra ogólnego, wywierać musi i wywiera zawsze w wychowaniu wpływy dodatnie, jest rzeczą niezawodną. Rozbudza to, i uszlachetnia wyobraźnię, która jest uskrzydleniem ducha ludzkiego, więc też umysł pozbawiony wyobraźni jest i pozostać musi nazawsze tępy i ciężkim, przywiązany do realnych jedynie potrzeb i interesów życia. Wyobraźnia potrzebuje tylko być zdrową, być czystą i wychowanie bardzo troskliwie nad tem czuwać powinno, oddalając od tej lotnej i ciekawej władzy umysłu wszystko to co ją zbrudzić, co ją niezdrowo rozgorączkować może. Dość-by było tej jednej przyczyny, aby wychowanie starało się nieprzykuwać młodości do poziomych tylko i jednostajności przedstawiających przedmiotów, bo wtedy to „la folle du logis“ jak Francuz wyobraźnię nazywa—siła najmniej podatna do ujęcia w karby woli ludzkiej, może w zły sposób zerwać nałożone na nią pęta i jak rumak rozbrykany ponieść jeźdźca gdzieś na dzikie pola. To co pedagogika nazywa „akcją zewnętrzną“—objawem siły w głębi człowieka mieszkającej, wtedy tylko rozwija się w dzielność dobrze wspomagającą, podnoszącą

życie, gdy *akcja zewnętrzna* daje jej ujście odpowiednie, i rodzice powinni pamiętać o tem wobec młodości szlachetnej, rwącej się do życia pojętego inaczej, niż samo zjadanie chleba. Wyższe w epoce naszej naukowe wykształcenie kobiet wniosło, wznieść powinno w ich umysł wyższe życia tego pojęcie, uszlachetniające z konieczności nie tylko przez rozszerzoną wiedzę, ale przez wyrobienie umysłu, przez doskonalszą jego inteligencją. Stara to, bo platońskiej jeszcze szkoły, teza, konieczny związek cnoty z wiedzą, jeżeli tylko nie jest to jedynie luźny zbiór wiadomości jeżeli nie jest to światło pod korcem, bo nie rozjaśniające dróg życia—jeżeli wiedza jest siłą żywą, zasadą życia czynną, bo takim jest zadanie jej, aby przez rozszerzoną władzę pojęcia, obserwacji, uwagi, przeniesionej z podrzędnych drobiazgów życia na życia cele wyższe, podnosiła energią wszystkich naszych władz myślenia. Rozumiemy wtedy inaczej co jest szlachetne piękno, co jest prawdziwe dobro, co też może być rzeczywistym pożytkiem dla istnienia naszego na ziemi, wśród rodziny, wśród społeczeństwa. Gdyby nauka nie wydawała skutków takich, gdyby to był jedynie luźny zbiór wiadomości bez związku z życiem, nie wiodący w użytkowaniu swojemu do wspomnienia dobra i moralnego piękna—nie było by warto obciążać tem sobie umysłu i poświęcać dla pracy na to najpiękniejszych lat młodości naszej. Ale, na szczęście, tak nie jest: nauka oświecając uszlachetnia i żyć pomaga, bo przez wykształcenie rozumu, przez podniesienie punktu naszych poglądów na życie, widzieć nam daje związek spełnionego obowiązku ze szczęściem i kobieta wiedzieć o tem powinna, tak dla własnego istnienia, dla celów własnego szczęścia jak i dla spełnienia najwyższego z jej zadań i prac życiowych—dla celów wychowania. Niech też nie skarży się i nie uważa za pokrzywdzoną wśród podziału pracy z mężczyzną, bo jej przypadła w udziale niewątpliwie najwyższa—wychowanie jej powierzonym zostało i ma ona prawo powtórzyć za pierwszą matką ludzkiego rodu:—

„Otrzymałam człowieka przez Boga!..

M. I.

DROGA PRZEZ LAS

POWIĘŚĆ

przez

AUTORKĘ „NA STARYM GRUNCIE“.

Słońce już zeszło ze środka niebios i posuwało się w stronę zachodu, nie mniej gorąco było na bożym świecie; wśród lasu należącego do Borków, dużej wsi parafialnej nad pobrażem Pilicy, zaczynało się już robić chłodniej, zwłaszcza że las ten był przewiewny, bo dobrze przetrzebiony, a zręby grubych pni, sterczące tu i tam, świadczyły, że siekiera człowieka pozbawiła go niezbyt dawno najszacowniejszego starodrzewia. Matka natura, która pustki nie znosi, zagospodarowała tu przecież wiosną, i rzuciły się koło tych smutnie sterczących szczątków bujne trawy i zioła a podszycie leśne, różnoliste krzewy głogów, kaliny, róż dzikich, rozrosły się bujniej, mając tu teraz, nie tylko dość miejsca, ale światła i powietrza, rosy bożej, której nie zabierały już sobie olbrzymie leśne, tak rozciągające górą konary swoje, że maluczkim przy ziemi, dostawało się niewiele tych darów natury. Wiosna przechyliła się już ku latu, słońce wstępowało w znak raka, i ptactwo siedziało już na gniazdach, ale jeszcze nie wszystkie ich głosy umilkły: wilgi i sikory odzywały się to tu, to tam, a jakiś kos samotnik gwizdał w kępie leszczyny i idący drogą gajowy, który z

przysiołka za lasem do wsi dążył, zaczął mu wtórować mimowoli.

Mimowoli, bo zamysłony on był i smutny, jakkolwiek miał prawo, a kto wie zali nie obowiązkiem radować się życiem, które było w nim właśnie, jak wśród otaczającej go natury w rozkwicie swym najpiękniejszym. Zdawał się mieć lat dwadzieścia kilka, lecz już coś poważnej mękości widniało na białym z natury, ale ogorzałym czole, z pod którego patrzyły przed siebie duże niebieskie oczy z ciemną rzęsą i brwią, regularnie zarysowaną. Miał na sobie bekieszkę z siwego samodziału, czarno bramowaną, a że wysoki był i wysmukły, ubierała go ta suknia prosta tak, że mógł być pozazdrościł mu tego niejedyn z tych paniczów, których widywał w kościele siadających w ławkach, gdy on stał w tłumie zwykle gdzieś blisko drzwi, wprost wielkiego ołtarza, prosty i gibki jak młoda topola.

I ojciec jego gajowym też był, zapisany podobnie jak i on w księgach gminnych jako dworski, ale stryj jego tak jak i dziad gospodarował na takim kawałku ziemi, że miał zawsze dość chleba i mógłby być począstować też białym kołaczem aniołów, gdyby zaszli kiedy do niego w gościnę.

On, po ojcu gajowym, gajowym też został, lecz w białym dworze, który po wyjściu z lasu zaraz oczom widzieć się dawał wśród zieleni drzew, Bóg nie dał syna, któryby podobnie na ojcowiskiem miejscu pracy stauał. Córka tam była tylko u ojca wdowca p. Kazimierza Borkowskiego, córka jedynaczka, i ludzie we wsi markotnie o tem myśleli, teraz zwłaszcza gdy nad tym dworem starym stanęła czarna chmura nieszczęścia. Syn radzić-by sobie lepiej umiał, mógłby naprzykład, ożenić się z posażną panną i spłacić długi, z którymi człowiek sędziwy rady sobie dać nie może. Nigdy nie hulał, nigdy pieniędzy marnie nie trwonił, ale był z tych ludzi, o których mówią: że im się nie wiedzie, zwłaszcza kłopoty ciężkie opadły go zaraz na progu życia. Chcąc się po śmierci rodziców przy rodzinnym zagonie utrzymać, musiał dwie siostry spłacić w tym czasie właśnie, gdy ziemia była najdroższa; że przecież gotówki nie miał, trzeba było pożyczyć a gdy jeszcze ożenił się z miłości z ubogą dziewczyną bez posagu, zamknęły się wszystkie perspektywy na które życiowi mu ludzie liczyli. — Poderzwał sobie gardło...—mówiono, ruszając ramionami, on przecież szczęśliwym się czuł, i póki był młodym borykał się z losem jak mógł, ale gdy żona, gryząca się w cichości tym smutnym stanem rzeczy, umarła, gdy z kolei wiek go przyciskać zaczął i energią do takiej walki z losem odebrał, gdy jeszcze przybyło parę lat złego sprzętu, ujrzał przed sobą otchłań. On sam dla siebie o niczem już nie myślał, z wszystkiego już skwitował; ale co robić będzie na świecie jego Marysia droga—jego jedynaczka, kochana gorąco i zasługująca na miłość, na szczęście, nie tylko w jego oczach? Z jego śmiercią ujrzy się na świecie nie tylko sama jedna, jak drzewo na pustkowiu, ale i bez dachu, bo wierzyciele, ci najpierwsi spadkobiercy takich, jak on biedaków, rzucą się od razu kapitały swoje odbierać.

Wioskę na licytację wystawia, podbijając tylko do summy swojej, a wtedy ona nieboga co zrobi ze sobą, gdzie się podzieje? Gdyby to był syn, choć najmłodszy, troska rodzicielska nie była by tak ciężką, ale córka, dziewczyna...

Całą noc jedną leżał bezsennie biedak sędziwy, gdy się raz słabszym uczuł przy jakiejś uciążliwej koło gospodarstwa robocie—leżał i rozmyślał, jak mu interessa uregulować należy—i doszedł w końcu do przekonania, że jakkolwiek splątany ten kłębek rozmota, zawsze to w skutkach lepszym będzie, skoro się to za życia jego stanie. Pierwszą myślą było, że trzeba wieś sprzedać. Grunta były dobre, las choć przetrzebiony, jeszcze taką wartość przedstawiał, że wszystko razem nie tylko długi pokryje, ale mu jeszcze coś gotówki zostanie i z tem do miasta, do Warszawy się wyniesie. Za młodszych lat swoich bywał radcą Towarzystwa Kredytowego i może tam jaki urząd, choćby najmniejszy dostanie, a przytem i Marysia będzie sobie mogła znaleźć zajęcie jakieś. Tyle teraz mówią o pra-

cy kobiecej, a żadna byle uczciwa, nie upokarza, zresztą cóż robić?..

Jak przecież nieśmiało, lekliwie z bijącym sercem w biednej piersi starej, pierwszą rozmowę w tym przedmiocie z córką rozpoczął. Było to już zmrokiem szarym, bo za jasności dziennej ciężkiej mu było zabrać się na to, w pierwszych początkach wiosny, tego dnia właśnie, gdy po raz pierwszy po zamknięciu zimowem, okna i drzwi na ogród otworzono, a on z Marysią swoją w nich siadł i świeże, ciepłe powietrze wiosny, w starą, ściśniętą żalem pierś chwycił. Niedawno przed samym zachodem słońca widział pierwszy tej wiosny łańcuch gęsi dzikich, ciągnących gdzieś z daleka na gniazda dawne, i przyszła mu myśl, że duchy ludzkie tak też ciągną z ziemi ku ojczyźnie wiekniestej, i gdyby nie los córki, uczułby się szczęśliwym, że ma już biały włos na głowie i nie ruszyłby się z kąta starego, choćby na pokornym gdzieś pod byle słomianym dachem się przytulić. Ale Marysia miała prawo do innego życia. Jest nie tylko dobra, rozumna, ale taka wdzięczna, błękitne jej oczy tak patrzą słodko na ludzi, i kto wie: czy w większym mieście nie znajdzie człowieka, który nie tylko urokiem jej słodkiego wdzięku ulegnie, ale jej szlachetną duszę, jej anielskie serce oceni... Był czas, że nadzieja podobna zdawała mu się bliską do urzeczywistnienia; ich sąsiad o miedzę, p. Władysław z Zagórza, często gęsto do ich domu zaglądał i już niejeden z sąsiadów wesoło mu mówił, że bogdaj niedługo będzie musiał weselisko wyprawić, ale czas upływał bez żadnych oznak, że się to przypuszczenie prawdą okaże, i jak go ten zawód ciężko bolał, jak bolał niezmiennie... To może nawet było jedną z przyczyn, dodających mu energii do działania, i wkrótce potem do miasteczka pojechał, faktorem tamtejszym powiedział, że chce Borki sprzedać; lecz zaraz spotkał się z niespodziewaną dla planów swoich przeszkodą. Gdy się ludzie we wsi o zamiarze jego dowiedzieli, zrobił się lament, krzyk wielki. — A ojcze! a dobrodziej nasz, czy ci tu źle, że chcesz się z ojcowizny swojej wynosić?.. — zawołano w pierwsze po południe niedzielne, gdy się ta wieść do wsi dostała. Wszyscy gospodarze gromadą całą przyszli do dworu załośni i prawie gniewni. Wieszniak ziemię, którą uprawia w pocie czoła, kocha z namietnością prawie, i uważa frymacerstwo nią za świętokradztwo, jak w duszy nosi pogardę dla rozrzutników, dla utracuszków, którzy następnie gdy bilans ich długów ktoś wreszcie podkreśli, muszą się pokornie do miasta wynosić i tam zarobku szukać, wchodząc w drogę tym, do których ten grosz na prawach podziału pracy należy. Ale tu uczucie było inne: sędziwy dziedzic Borków nie zawinił w ten sposób, ale to już wydało się winą w oczach tych natur uczciwie prostych, że mógł ze swego stanowiska zejść inaczej, niż do mogli. On rozczulony, ramiona im swoje otworzył, jak brat, jak ojciec do piersi ich przycisnął, a potem wytłómaczył o co mu chodzi. Chce dziecku swemu drogę życia ułatwić, zresztą wiek go już gnębi na ziemi: czy więc dziś, czy jutro odejść, to wszystko jedno...

— O, nie jedno panoczku, niejedno — zawołał któryś ze starych. — Lżej umierać człowiekowi na swoich śmieciach, i kto tam wie, jaką pokutę Pan Bóg duszy przeznaczy, toć już lepiej duszy tej i tam się tulać, gdzie ją Bóg Ojciec na świat przysłał.

Panu Kazmierzowi zakreśliły się łzy w oczach, i ramiona do mówiącego otworzył, jak brat brata do piersi przycisnął, ale niemniej od zamiaru swego nie odstąpił. Borki sprzedać musi, inaczej nie mógł by spokojnie oczu zamknąć, ale oni smutnie głowami kręcąc nie mogli się prędko z tą racją miłości ojcowskiej zgodzić, i wyszedłszy ze dworu, nie rozeszli się zaraz do domów. — Bóg tylko wie w czyje ręce wieś się dostanie? — mówili markotni, przystanawszy za opłotkiem i dworskimi. — Teraz wsie byle kto kupuje, a u pana z panów grosz coraz rzadszy...

— A tak... a tak — przyświadczano mu smutnie i ciągnąc tak gromadą do wsi, przystanęli ludziska zmartwiem przed karczmą.

— Wstąpijwa tu, izbisko duże, to se siędziewa, aby się naradzić — rzekł któryś i usłuchali go. Do

karczmy weszli i w obszernej rzeczywiście izbie zasiedli ławę w koło stołu. Ktoś kazał gorzałki postawić i częstowali się wzajem, ale smutnie.

— Nie może być, abyśwa ręce za pas założyli — rzekł przytem któryś. — Jest u nas u każdego grosza trochę i czy by się nie złożyć i starego pana od tych bestyi, co go ssą, nie wykupić?

Spojrzeni po sobie. Była w sercach chęć pocziwa, ale odzywał się i głos interessu własnego. — Wykupić nie wykupić... — rzekł jeden, sołtys. — Syna nie ma, a Bóg Święty wie za kogo panienska wyjdzie?..

— A tak... a tak... Bóg Święty wie?..

— To kupwa więc na swoje ręce... — ozwał się sołtys, wymawiając słowo za słowem powoli. Myśl ta już mu przy rozmowie ze starym panem w głowie zaświtała, ale wieśniak nie bywa porywczy. Jak woły, za którymi przy pługu chodzi, myśl jego pracuje powoli i odzywa się też z nią dopiero po namyśle pewnym. Słuchacze chwilę też jakoś namyślali się, a gdy nareszcie jeden odezwał się: — Kupwa... wszystkie głosy przyświadczyły mu. — Kupwa... powtarzano — zapłaciwa biednemu paniskowi uczciwie, bo i on uczciwy dla nas był, jak ojciec dla dzieci.

Nad wieczorem sołtys przyszedł do dworu. Marysia nie było w tej chwili przy ojcu, gdy go do pokoju wprowadzono; Sędziwy pan siedział w ganku od ogrodu smutny; wzrok jego błakał się po klombach, pozakrętach drożyn a serce było ściśnięte i tak ciężkie w piersi, jakgdyby było z kamienia młyńskiego. Przypominał sobie przeszłość całą, wszystkie chwile szczęścia i niedoli, jakie na tym kawałku ziemi przeżył i iza gruba, ciężka iza toczyła mu się po licach. Dlaczego żył tak długo?.. Ale przypomniawszy mu się Marysia i wyrzut sumienia odezwał się w biedaku, bo jakże byłby los sieroty... sieroty ubogiej? W tej chwili chłopak kredensowy przyszedł mu powiedzieć, że sołtys przyszedł i prosi, aby mógł z panem mówić.

— Niech wejdzie — rzekł smutnie i takim smutnym zobaczył go ten człowiek, nieśmiało, niespokojnie przesuwający się ku niemu. Nie wiedział od czego zacząć, ale gdy po kilku wyrazach pan Kazimierz doszedł do wątku sprawy, z którą przychodził, podniósł się z krzesła tak, jakgdyby jakiś strumień młodości i zdrowia w żyły mu wpłynął. — Bracie! — zawołał wyciągając ręce do niego. — Bracie!..

Byłby go w objęcia wziął, gdyby tamten do nóg mu się nie schylił i tylko też głowę jego ucałował. — O niech wam Bóg nagrodzi... zawołał — niech wam Bóg nagrodzi, żeście pracowici i oszczędni, że mi zdejmujecie z serca kamień młyński, które je przygniatał; że zdejmujecie ze mnie może grzech, może skazę na uczciwym dotąd nazwisku mojem. Oddam bez wyrzutu sumienia w ręce wasze to, czego moje słabe, nędzne ręce utrzymać nie umiały.

Sołtys zrozumiał motyw, który wywołał wzruszenie to silne w piersi p. Kazimierza, zrozumiał go instynktownie i objął jego nogi jak syn rodzony, a tamten położył mu rękę na głowie jak ojciec.

— Teraz nie zostawię już żadnego długu po sobie — rzekł puszczając wzrok w głąb ogrodu, jakgdyby mówił do drzew, ziół, krzewów, które tam rosły — żadnego długu...

Ale nagle żabotało go coś w sercu. — A Marysia? — zawołał w sobie — Marysia moja nieboga?.. Nie oddam jej tego, com jako spadek ojcowizny dostał kiedyś?

— Będzie musiała iść przez życie ciężką, trudną dla kobiety drogą... Będzie musiała pracować na chleb i... czy nie zostanie samotną?

— Biedna, biedna Marysia moja... — szeptał i iza zasłoniła mu oczy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RUCH MUZYCZNY.

W ciągu ubiegłych paru tygodni, mieliśmy różne specjały artystyczne o poranku i wieczornej dobie, gdzie ponęty nie stauowała żadna cudzoziemska gwiazda, spragniona tutejszej sławy. Siły miejscowe musiały wszystkiego dostarczyć, ponieść wszystkie expensy, na wzór owych czwartkowych obiadów za króla Stanisława, o których złośliwie wyraża się K. Węgierski. Przystępując do powierzonego nam zdania sprawy, nie myślimy tu naśladować onej złośliwości, zresztą niesłusznej; jest u nas dosyć znakomitych i sympatycznych imion, które swoim urokiem zdolne są pociągnąć liczne grono miłośników muzyki i w sposób interesujący wypełnić nie jeden koncertowy program; chodzi tylko o zręczne i umiejętne spożytkowanie dobrych danych, by ciekawość ogółu pobudzić, wznieść pewien entuzjazm i pozostawić wrażenia mile, serdeczne, może nawet bardziej długotrwałe, niż te, które nam pozostawiają przelotne zagraniczne ptaki. Zyskują na tem i swojscy artyści i materyalne względy w celu których zazwyczaj takie uczty *pro bono et honore domus* się wydaje. Niestety, jakaś tymczasowość niedbała, złożenie programu jakby na prędce, uszczuplenie występujących sił zbiorowych, które, w pełnym komplecie zaimponować by mogły, oto przyczyny powodzenia małego a tem samem chybień celu. Mamy tu na myśli, przedstawienie teatralne, które się odbyło dnia 25 Października na rzecz kasy pożyczkowo-wkładowej artystów teatrów warszawskich.

Przedstawienie to było napozór wielce urozmaiconem, przeróżne nań składały się czynniki, bo i muzyka i sztuka dramatyczna i choreografia a jednak wypadła z tego wszystkiego summa zadowolenia nader mała, i podobno również mały przybytek do kasy. Wysłuchaliśmy melodramatu „Precyoza“ Webera, podanego skromniutko w sposób koncertowy, pomimo, iż tęższe środki wykonawcze, akcesorya sceniczne, oraz miejsce samo, przy odrobinie zachodu, niewątpliwie dałyby możność wystawienia tego pięknego dzieła wspaniale i efektownie. Ocena komedii „Zemsta bogini“ Ferriera, nie należy do nas, wszelako, przeciętnie nawet wykształcone audytoryum przyzna, iż wartość sztuki polegała przeważnie na subtelnej, mistrzowskiej grze pani Lüdowej i p. Szymanowskiego. Pan Barcewicz, którego imię tak zasłużony urok otacza, ufny w potęgę tego uroku, nie zadał sobie trudu by na ten poranek, wzbogacić swój repertuar czemś nowem świeższym aniżeli „Rondo capricioso“ Saint-Saensa, nadto już ograne. W dalszym ciągu, obójtnie wysłuchano czwartego aktu „Faworyty“, która na części rozerwana, tu i owdzie służy teraz do zapełniania luk w afiszach, a może do podnoszenia wrażeń wskutek kontrastu jaki z tą operą, przedstawiając dzieła nowszego kierunku. Na zakończenie divertissement tancerskie, pobudziło drzemające nerwy publiczności, bardzo zresztą nielicznej. Artystom występującym w „Faworycie“ i „Precyozie“ należy się serdeczne uznanie.

Z teatru przejdziemy teraz do sali Towarzystwa muzycznego, gdzie mniejszy wieczór Środowy, stał się polem popisu dla młodych debutantów. Od dam poczynając, zaznaczymy udatny śpiew panny Ulbrichówny, która posiada głos niezbyt silny, ale bardzo czysty, przyjemnie brzmiący i znacznie już wyrobiony; wrodzone zdolności, potrzeba tylko jeszcze kształcić na poważnych studyach; które dłuższą i trudną, ale tem pewniejszą drogą torują do listków sławy. Ilekroć widzimy na estradzie młodą i utalentowaną adeptkę sztuki, trwoga nas ogarnia by się talent nie zmarnował, wskutek przedwczesnych aplauzów i nawyknień do dogadzania upodobaniom dyletanckim, a zarazem wskutek zbyt wygórowanych dążeń, które częstokroć nieodpowiednie do sił, ukazują jako szczyt marzeń, po większej części zawodnych, szeroką sceniczną arenę;

gdy tymczasem praca w innym kierunku, byłaby korzystniejszą a również chwalebniejszą. I mimo woli naówczas budzą się w nas wspomnienia takich śpiewaczek koncertowych, jak: panna Kleber, pani Uszyńska, Barbi, które umiały w klejnot zamieniać każdy najdrobniejszy utwór, subtelnością wykończenia, siłą deklamacji, skończonym artystycznym pojęciem. Sądźmy, że i panna Ulbrichówna tym jeno torem idąc, stanąć może na stopniu doskonałości.

Grę fortepianową na tym wieczorku podjęła panna Amelia Rajchmanówna; bardzo pięknie rozbrzmiewały pod jej palcami Andante i Polonez Szopena, „Fijolek“ Mozarta Kullaka „Gawot“ Sgambatiego, oraz „Krakowiak“ Noskowskiego. Nie pierwszy raz słyszymy pannę Rajchmanównę mogliśmy więc przez porównanie z poprzednimi debiutami, ocenić chwalebny postęp jaki uczyniła na drodze sztuki. Panna Stępniewska, jako deklamatorka, wybrała sobie do popisu „Hagar na puszczy“ ową niezapomnianą spuściznę po Modrzejewskiej, i znakomicie wywiązała się z zadania, zdumiewając potężnym dźwiękiem swojego głosu, mocą expressy szlachetnej i naturalnej; to też oklaskom nie było końca. W ogóle nastrój bardzo entuzjastyczny panował owego wieczoru, a do podniesienia temperatury wrażeń, przyczynił się nie mało, młodziutki bohater chwili, dziesięcioletni Bronis Huberman, skrzypek, uczeń p. Rojzena. Mały wirtuoz, odegrał kilka dzieł imponujących zarówno głębszym artyzmem jak i trudnościami technicznymi, które, zdawałoby się przechodzą siły wykonawcy, jak: Koncert A mol Viottego, Romans F dur Bethoveena, kompozycje Czajkowskiego i Wieniawskiego; ze zdumieniem przeto, słuchaliśmy każdego pociągnięcia smyczka, śledziliśmy każdą frazę muzyczną. I przyznać trzeba, że wszystko było odegrane dokładnie, dobrze, a nawet z pewnym artystycznym zacięciem i kolorytem, który zdradzał talent rzeczywisty inteligencją nad wiek rozwiniętą. Dziś zatem, gdy rezultat ledwie paroletniej zapewne nauki, daje stokroć więcej, niżeli można od dziecka wymagać, Bronis Huberman, zasługuje na słowo pochwały i na podziw. Ale co przyszłość wykaże? — to inna kwestya, którą dalibyśmy chętnie do roztrząsania pp. pedagogom. Ze swej strony ośmielamy się powiedzieć, iż zamiast na estradzie, wolilibyśmy raczej widzieć Bronisia na tej drodze po której postępują dzieci, kształcone prawidłowo, normalnie, z bacznością na ich wiek, siły i zdrowie. Talent, nie forsowany zawcześnie, traktowany raczej jako dodatek do wykształcenia humanitarnego, rozwijany powoli, stopniowo, sam przez się w danej chwili rozblęsnąłby światłem potężnym i dopomnił się o swoją lwią część w duszy artysty: inaczej kto wie czy nie zgaśnie naksztalt fajerwerku, co się efektownie ale krótko pali. Przesądzać nie wypada, jednak liczne przykłady dowiodły już co się dzieje po pewnym czasie z tak zwanymi cudownymi dziećmi.

Drugi większy wieczór Towarzystwa muzycznego także bardzo interesująco się przedstawił. Jako solista skrzypek, występował p. Drutman, uczeń Barcewicza, i dowiódł, że wyborne ziarno pada na wdzięczną glebę. Rzekniesz, że grze jego uwidoczniła się już znakomity kierunek, jest technika duża i śmiała, pewne zacięcie brawurowe, ton silny; ale brak jeszcze samodzielnego technienia artyzmu, owej głębokiej intuicji która na jaw dobyć umie duchową stronę każdego utworu i wypromienić, zakłęta węń iskrę piękna. Połem popisu dla p. Drutmana był koncert Brucha, oraz Polonez i Ballada Vienxtemps'a. Oprócz solowego śpiewu, którym panna Kwiecińska nadspodziewanie, a bardzo mile uraczyła publiczność, mieliśmy na tym koncercie i śpiew zbiorowy, reprezentowany przez szwedzki kwartet męzki. Zaiste, trudno określić wrażenia tego występu, i doniosłość jaką na on dla słuchaczy specjalnie zamilowanych w tego rodzaju muzyce. Jeżeli bowiem rozpatrywać będziemy kwartet szwedzki ze stanowiska estetyki, to zarówno brzmienie głosów jak wybór dzieł wykonanych przedstawia ujemne tylko dane. Cała waga spoczywa tu na stronie technicznej, na artyzmie wykonania o jakim u nas nie ma się nawet pojęcia. Jest to śpiew w swoim zespole doprowadzony do takiej

doskonałości, iż wydaje się jakoby dźwięki harmonijne, brane były, nie za pomocą głosu ludzkiego, lecz instrumentów automatycznie posłusznych jakiemuś mechanizmowi, który je wprowadza w pełne akordowe brzmienie. Wprawa i zaśpiewanie, gra tu zapewne dużą rolę, nie mniej jednak czynnikiem być musi: subtelne poczucie rytmu, wykształcony słuch muzyczny i poszanowanie tej pracy, która się nazywa pracą zbiorową, a która, jak w innych zakresach, tak i w dziedzinie sztuki występując, domaga się zaparcia wszelkich indywidualnych zachcianek i popisów.

Dnia 30 Października w Salach Redutowych odbył się koncert „Lutni“ z łaskawym współudziałem panny Marty Jankowskiej i p. Michałowskiego. Publiczność zgromadziła się ochoczo i tłumnie, a wzajemian za tę skwapliwość, doznała wielu przyjemnych i słodkich wrażeń. Dano jej usłyszeć cały szereg pieśni ulubionych i nieznanych jeszcze a wykonanych z wielkim staraniem precyzją i werwą. Zpomiedzy nowości zaznaczamy: „Cisza morska“ Rubinsteina, „Skarga“ Otto, „Jaskółeczka“ Dopplera, „Owczarek“ Słaskiego (z motywów ludowych) i „Żaby“ M. Kotarbińskiego. Ta ostatnia kompozycja specjalnie zainteresowała słuchaczy, albowiem p. Kotarbiński, dał się w niej po raz pierwszy poznać jako zdolny i sympatyczny twórca. Na treści popularnej, wesołej piosenki o „Żabach i bocianie“ usnuł on kwartet, pełen wdzięku, świeżości i humoru, bardzo oryginalnie a harmonijnie brzmiący. Audytoryum też objawiło mu swe zadowolenie burzą oklasków.

Wogóle czyż potrzeba dodawać, że entuzjizm panował od początku do końca wieczoru, że sympatya łącząca publiczność z wykonawcami, objawiała się arcygłośno; że p. Michałowski, za wykonanie Toccaty i Fugi Bacha, Capriccia z op. „Alceste“ i Fantazji z op. „Rigoletto“, otrzymał hołd sobie należny, że wreszcie nienasyconym słuchaczom nie-by nie szkodziło, gdyby program koncertu był dwa razy dłuższym.

Juljusz Stattler.

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków, w końcu Października, 1891 r.

Właściwość to niejako naszego miasta — rzecz sprzeczna z tem, co się gdzieindziej spotyka, iż posiadamy podczas letniego sezonu chwile ruchu, gwaru, niezwykłego ożywienia. Wprawdzie nie zawsze tak się zdarza, ale wyjątki są rzadkie. Miejscowi wyjeżdżają, wynoszą się gromadnie przez rogatki, do różnych bliższych i dalszych stacyi leczniczych i wód, do wiosek często mniej uposażonych w warunki higieniczne niż miasto; wyjeżdżają wszyscy, i ci co mogą, i ci co nie mogą, natomiast zaś ukazują się na naszym bruku twarze w mieście nieznane, twarze pospolite ogorzone turystów i turystek. Te nowe zastępy, przelotnie ukazujące się i znikające, dają się spostrzegać wciąż na ulicach naszego miasta, podczas lata i aż do późnej jesieni. Tak było i podczas ubiegłego sezonu letniego.

W roku bieżącym wyjątkowo piękne pierwsze dni wrześniowe, wstrzymujące turystów dłużej nieco w górach, pozwoła i nam długo jeszcze, prawdopodobnie do bardzo późnej jesieni, owe przelotne ptaki wśród murów naszych oglądać. Zresztą okoliczności składają się tak, iż wyjątkowo dużo turystów w ciągu lata spotykaliśmy i gościli u siebie. Przyczynił się do tego nie mało zjazd przyrodników i lekarzy. Od r. 1869 odbywają się owe zjazdy przyrodniczo-lekarskie co lat kilka i mieliśmy już ich pięć w większych miastach tutejszych i innych, ostatni, który się odbył w Krakowie, w drugiej połowie Lipca bieżącego roku, wyróżniał się liczbą wielką uczestników i obfitością znaczną refera-

tów nader pouczających i ciekawych. Zaledwie mała cząstka owych referatów mogła być odczytana i poddana rozprawom: czas; na to więcej pozwolił. Godnem jest wszakże zaznaczenia, iż każdy ze zjazdów wzrastał w liczbę uczestników i w ilość sekcji, na które dzieliło się grono obradujących. Obecnie liczba sekcji urosła do piętnastu, z których psychologiczna po raz pierwszy znalazła miejsce w programie narad medyków i przyrodników. Nowy ten dział pracy stał się czynnikiem budzącym dużo zajęć. Zasiadli na ławach sekcji, nie tylko przyrodnicy i lekarze, ale ludzie wcale innych zawodów. Dla prawników i pracujących nad filozofią znalazł się tam nie jeden temat do rozpraw i otwierania nowych kierunków myśli. Liczba referatów obfitą tak była, iż nie myślano nawet o wniesieniu ich wszystkich na posiedzenia zjazdu. Do dyskusji, nawet pobieżnej, nad wielu nie przyszło, lecz poruszono niejedną zasadniczą kwestyą, kuszono się o rozwiązanie niejednej hipotezy. Najbardziej zajmującymi były rozprawy w sekcji psychologicznej, gdzie bardzo wielu uczestników zjazdu i zwolenników przedmiotu brało żywy udział w rozprawach, lub przysłuchiwało się toczonym przez innych.

Godną zaznaczenia jest rzecz, iż wśród różnych uchwał, na sekcji fizyczno-matematycznej, przyjęto jednomyślnie wniosek p. S. Dicksteina z Warszawy o urządzeniu w najbliższym czasie muzeum „wynalazków swojskich“, w dziedzinie nauk fizyczno-matematycznych. Tenże sam wnioskodawca poruszył myśl, również przyjętą, aby rozpocząć pracę nad nową bibliografią z zakresu matematyki i fizyki, gdyż przed paru dziesiątkami lat wydana bibliografia rzeczonych działów wiedzy niezupełnie już odpowiada dzisiejszej potrzebie.

W innych sekcjach ważną była uchwała, dążąca do ujednostajnienia słownictwa lekarskiego, zalecająca więc sporządzenie nowego poprawnego wydania „Słownika lekarskiego“ (druk. w r. 1881 nakł. Tow. lek. krak.). Wreszcie wnioskodawca, również z dalszych okolic, D-r J. Karłowicz, zaproponował uchwałę o wniesieniu petycji do senatu uniwersytetu Jagiel., aby dopuszczono kobiety do słuchania wykładów na wydziale filozoficznym, lub urządzono oddzielne w tym kierunku kursa.

Zdaje się nam, że ostatni wniosek, a przynajmniej druga jego połowa, zbyt czułą była rzeczą, wobec istnienia od lat dwudziestu trzech zakładu naukowego wyższego dla kobiet: D-ra A. Baranieckiego, który na dotychczasowych zasadach rozwinąć-by się mógł szerzej, gdyby materyalne środki odpowiadały zamiarom.

Jednocześnie ze zjazdem lekarsko-przyrodniczym otwarto i wystawę lekarsko-przyrodniczą, a zajęła ona tenże sam gmach gimnazjum Św. Anny, w którym odbywały się posiedzenia zjazdu. Podzielono ją na 8 grup, gdzie zebrano to wszystko, co było w związku z naukami medycznymi i przyrodniczymi. Przesuwały się tedy przed okiem zwiedzających księgi wydawnictw przyrodniczo-lekarskich z ubiegłego dziesięciolecia, mapy, litografie, fotografie; okazy ściśle przyrodnicze, przetwory chemiczne; farmaceutyczne różne wyroby; konserwy, pokarmy sztuczne i przerabiane; przyrządy elektro-lekarskie, balneologiczne i higieniczne; przyrządy optyczne, chemiczne, fizyczne; wreszcie narzędzia i przyrządy chirurgiczne, anatomiczne, opatrunkowe, gymnastyczne, ortopedyczne; preparaty anatomiczne; nakoniec: plany, widoki, wzory urządzeń zdrojowisk i inne liczne działy i okazy tak zwanego przemysłu lekarskiego.

Nadzwyczaj ciekawym był dział „wynalazków naukowych swojskich“, chociaż to przeważnie owoc prac przeszłości, wynalazki zmarłych już w znacznej części pracowników. Widziano tam: rękopisma o lokomocyi Hoene-Wrońskiego, pompę rtęciową Milego, przyrządy do pomiarów prof. Rekmana, przyrząd do pisania po omacku p. Wojciechowskiego (z Kielc), przyrządy geodezyjne Szawłowskiego i Kolberga; liczne wynalazki Stoffla, Sterna, Słonimskiego; fotomanometr prof. Cybulskiego i liczne inne świadectwa swojskiej pomysłowości, wiedzy, wytrwałości. Okazy tych

wynalazków, nabyte przez uczestników zjazdu, mają stać z czasem zawiązką „Muzeum wynalazków swojskich“. Jak na teraz złożono je w Muzeum Techniczno-Przemysłowe.

Jednym z honorowych prezesów zjazdu był D-r Adrian Baraniecki, twórca przed 22 laty owych zjazdów lekarskich i przyrodniczych. Chcąc uczcić jego zasługi; wręczono mu uroczystie medal złoty, na jego cześć wybity.

Przyjemnym echem wieść o tem obila się o ucho szerokich kół towarzyskich, i miasta, i dalszych okolic, bo wszechstronna zasługa D-ra A. Baranieckiego powszechnie znajdowała uznanie. Nie przypuszczano wówczas, iż zaledwie trzy miesiące upłyną od owej uroczystej chwili wręczenia medalu, mąż ten zasług niespożytych dla społeczeństwa spocznie w mogile. Losy zrzuciły inaczej: już go nie posiadamy. Pamięć tylko o nim trwa i trwać będzie...

Śmierć ogromne tu szczyby wytworzyła w tych czasach w kołach obszernych, zarówno nauki, jak i towarzyskich. Żadne może z miast większych nie poniosło tyle, tak wielkich, tak nagłych, niespodzianych strat, jak nasze. Przed kilku miesiącami zasnął snem nieprzespanym mąż znany w dziedzinie filologii, wyborny znawca języka, autor pracowitego dzieła o synonimach, niegdyś tłumacz *Słowa o pulku Igora*, sędziwy bisk. Adam Stan. Krasiński. Jeszcze pierwsze wrażenia smutku po doniosłej stracie nie znalazły ukojenia, gdy miasto nasze grzebało wciąż trzech tygodni trzech mężów nauki, pracy, zasług niepospolitych na różnych polach: D-ra Kopernickiego, D-ra Wład. Krajewskiego i D-ra Adriana Baranieckiego. Zgasł 25 Września D-r Izidor Kopernicki, prof. antropologii na tujejszym uniwersytecie, którego antropologiczne badania zdobyły dlań rozgłos na całym Zachodzie. Towarzystwa antropologiczne — paryżskie, londyńskie, berlińskie, florenckie, wiedeńskie — powołały go na członka i skwapliwie w swych rocznikach umieszczały jego prace. Jako członek tujejszej akademii umiejętności położył on niezmiernie zasługi na niwie, zarówno antropologii, jak etnografii i archeologii przedziejowej. Obok prac poważnych miał czas i siły do zatrudnień literackich, w które wkładał równie wiele trudu jak i uzdolnień, co, prawdziwie, były u niego wszechstronnością. Ta wszechstronność i niczem niezachwiana pracowitość sprawiły, iż z języków, bardzo mało u nas rozpowszechnionych, litewskiego i serbskiego, dokonywał przekładów. W sześćdziesiątym czwartym roku życia zasiadał do nauki języka litewskiego, nader trudnego, i wprędce takie postępy w nim uczynił, że zdołał tłumaczyć etnograficzne prace Juszkiewicza. Serbszczyzna dawniej znana była, i z tej umiejętności nie zaniedbał skorzystać, z pożytkiem dla literatury. Z serbskiego tłumaczył, widocznie w chwilach wytchnienia, pieśni serbskie, a z nich niektóre tylko wydał w r. 1889, w chwili gdy naród serbski obchodził pięćsetną rocznicę boju nieszczonego, na Kosowem Polu; dlatego też ów zbiorek nosi tytuł: *Na Vidow-dan* („Na dzień Wita“ — jak Serbowie pospolicie zwykli nazywać ową rocznicę boju na Kosowem).

Przed dwoma laty, pisząc korespondencją do waszego pisma, szerzej wspominałem o tym przekładzie pieśni serbskich uczonego męża. Rzecz pod prassą jeszcze była, nie chciał przeto tłumacz, aby mówiono kto przełożył; pisałem więc o *Vidow-danie*, nie wymieniając imienia tłumacza. Książeczka ta, poświęcona słowiańskim pobratymcom, poprzedzona przedmową T. T. Jeża, zawierającą historyzoficzny pogląd autora „Uskoków“ na tragedię przed pięciu wiekami rozegraną na Kosowem Polu — nie zawiera wszystkich przekładów pieśni serbskich: część ich pewna, nie wiemy o ile znaczna, w tece tłumacza pozostała. Sądzymy, że nie pozwolą i tym rękopiśmiennym pozostałościom znakomitego uczonego zmarnieć w pyłe archiwalnym.

Praca, trud naukowy, pełny znoju tak dalece wypełniał wszystkie chwile istnienia D-ra Kopernickiego, iż, gasnąc powoli, jeszcze nie rozstawał się z myślą dalszych prac, i dopiero o wczesnym poranku dnia ostatniego w życiu ze zwy-

klą pogodą umysłu powitał lekarza, który czuwał u jego łoża, słowami: „finis laborum“... Tak, był to dopiero wówczas „koniec prac“, bo śmierć u wężłowia już stała, kres życia stawał się zarazem kresem naukowego znoju. Mówiono, patrząc na ten zgon pełny spokoju i świadomości, jest to śmierć uczonego... Powiedzielibyśmy raczej to zgon chrześcijanina i męża sprawiedliwego, który szedł wciąż drogą Pańską...

Osierocona przez zgon Kopernickiego katedra antropologii zapewne długo pozostanie opróżnioną, bo uczonego antropolog nie miał dość czasu do wykształcenia następców. Zmienne życia koleje, twarde tutejsze warunki — płynące z głębi społeczeństwa, zaledwie w ostatnich latach życia pozwoliły uczonemu professorowi zająć katedrę... Obfite, gdzieindziej nie spotykane zbiory antropologiczne D-ra Kopernickiego zmarły professor oddał na użytek publiczny: kazał je złożyć w Akademii Umiejętności, której pracowni w ciągu kilkunastu lat patrzyły na jego badania żmudne.

Zaledwie zamknięto wieko trumny uczonego antropologa, nader boleśnie obila się o szerokie koła, zarówno tu, jak i w Czechach, śmierć lekarza niepospolitej nauki, człowieka wielkiego serca, filantropa w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu, D-ra Wład. Krajewskiego. Jako lekarz zdrowoty praktykował on długie lata w *Teplitz-Schönau* (Czeskie Cieplice) w Czechach, gdzie głęboką nauką, poświęceniem się niezmównanemu dla chorych, stał się głośnym, wziętym, wyróżniającym się. Cierpiąca ludzkość, ludzie szukający charakterów nieskazitelnych, połączonych z umysłem wyższym, wiedzą rozległą — wiele w nim stracili. Takie świetlane postacie rzadko przez ziemię przechodzą i goszczą na niej zbyt krótko — i to istnienie zbyt krótkim było, niestety...

Dziwnym losu zrządzeniem miasto nasze nie widziało w dwóch wyżej wspomnianych mogiłach kresu swych bolesnych strat. Uderzył wkrótce nowy a srogi cios. W parę tygodni po Krajewskim, d. 15 Października, D-r Ad. Baraniecki, twórca Muzeum Techniczno-Przemysłowego, i połączony z nim Zakład Naukowy Wyższy dla kobiet, spracowany długoletnim trudem dla społeczeństwa, zasnął snem wiecznym. Instytucje przez niego stworzone pozostały osierocone. Myśl wyższa, obywatelska, co je dźwignęła, zgasała; i, zaiste, słowa jednego z mówców nad mogiłą Baranieckiego nader słusznymi były, gdy się wyraził, iż stare i opuszczone mury franciszkańskie pytają teraz: co z nami będzie?... W murach tych bowiem wytworzył i w ciągu dwudziestu trzech lat utrzymywał D-r Baraniecki swe instytucje: Muzeum Techniczno-Przemysłowe i Wyższy Zakład Naukowy dla kobiet. Pierwsza z tych instytucji, nietylko, iż powstała z daru zmarłego, ale w latach późniejszych, a z tych lat wytworzyło się ćwierć wieku, założyciel wciąż swymi funduszami bądź stosunkami, zabiegami, pomnażał te zbiory. Kiedy z Londynu przybył do naszego miasta i tu osiedlić się postanowił, przybył z nim paki zawierające zawiązek Muzeum: obejmowały one 5.000 okazów; dziś liczba staraniem zmarłego obecnie założyciela wzrosła do 35.000 okazów przemysłu krajowego i cudzoziemskiego. Widzimy tam teraz zarówno surowy materiał, jak i narzędzia, maszyny, przyrządy, modele; widzimy zbiór obfity etnograficzny, zbiór zoologiczny do wykładów, zielniki, przyrządy chemiczne i fizyczne, laboratorium chemiczne, zbiory map, wzory rysunkowe, modele gipsowe do wykładów, odbywających się w salach muzealnych, a wreszcie bibliotekę złożoną z 6.000 tomów. Cały ten zakład jest pod opieką miasta, które też na utrzymanie Muzeum łoży. Z Wyższym Naukowym Zakładem dla kobiet rzecz się ma inaczej. Połączony on z Muzeum jedynie, że tak powiem, unią personalną, jak Szwecya z Norwegią. Wspólny twórca tych zakładów, i ich opiekun, był też zarazem wspólnym ich dyrektorem, z tą jedynie różnicą, że na Zakład dla kobiet sam łożył, sam dokładał przez całszereg lat. Gdyby dziś podsummowano wszystko, co Baraniecki wydał w ciągu 23 lat na stworzone przez siebie kursa wyższe dla kobiet, otrzymanoby po-

ważną sumę pięćdziesięciu tysięcy guldenów. Ofiarność, zaiste, zdumiewająca, szczególnie w kraju takim, jak ten, gdzie ofiarność publiczna, zwrócona wyłącznie ku nędzy materyjalnej, ku żebrakom, ku chromym, niedomagającym, a o ubóstwie ducha zbyt mało się myśli.

Osierocony przez Baranieckiego zakład dla kobiet, na którego ławach kształciło się, a przynajmniej szukało wiedzy 1.600 słuchaczek, przez czas jego istnienia, funkcjonuje bez przerwy w roku akademickim bieżącym; był jego na ten rok zabezpieczony, a spodziewamy się, iż znajdzie się w kraju jaki rzeczywisty miłośnik wiedzy i społeczeństwa, który pośpieszy ze znacznieszą ofiarą, aby zabezpieczyć trwałość tak pożytecznej instytucji, jaką jest Zakład Naukowy Wyższy dla kobiet, D-ra Adr. Baranieckiego.

Słuchaczki zakładu, dawne i terażniejsze, na ile ich stać, uczciły pamięć swego rzeczywistego dobroczyńcy, który wśród nich długie lata był „siewcą światła“. Bo gdy rada miasta uchwaliła na sumpt gminy uczcić Baranieckiego pogrzebem, słuchaczki na swych młodocianych barkach niosły jego zwłoki od bram cmentarza do mogiły, a jedna z nich słowem skromnem a rzewnem żegnała drogie te szczątki, gdy je wynoszono z auli muzealnej, gdzie były złożone.

Sprawa pomnika Mickiewicza, od wielu lat w zawieszeniu będąca, obecnie obudziła się i posuwa ku urzeczywistnieniu. We wschodniej połaci rynku, między Sukiennicami a ul. Sienną, pracują nad fundamentami podstawy pomnika, która ku wiosnie zapewne ukończoną zostanie, a sam pomnik, o ile wnosić można z działalności terażniejszej, stanie ku końcowi roku przyszłego.

Również czynnie posuwają się teraz prace około nowego teatru, którego mury wyniosłemi zręby już zdala witają przychodnia, i nadzieja zdaje się być uzasadnioną, iż gdy inne sprawy u nas chronicznie zalegają, ten wspaniały, a jak na nasze stosunki, zbyt drogi, przybytek sztuki bardzo prędko ukończonym zostanie.

MAŁE DUSZYCZKI.

(Piccole Anime).

Poznajamiasz naszych czytelników z nazwiskiem, literacką chudobą i życiem pani Matyldy Seroa, obiecaliśmy im dać próbkę jej talentu, streszczeniem czy przyswojeniem jednego z najgłośniejszych jej utworów. Zrozumienie dzieci, pisanie o dzieciach, należy niejako do jasnowidzenia geniuszów, daje miarę rzetelnego talentu, a nieraz i tętno wartości moralnej piszącego. Anglicy w tym kierunku złożyli dowody wielkiej delikatności pióra i duszy, wielkiej subtelności obserwacji. Dość przypomnieć Dickensa, żeby tylko najcelniejszego nazwać autora. We Francji Daudet usiłował wkroczyć w świat dziecięcy, same wszelako tylko niedole dziecięce drastycznie i boleśnie oddając. Ciekawij byliśmy, jak włoskie pióro z tego zadania się wywiąże, raz więcej uważając słusność zdania, iż każdy odrębny język jest niby innym oknem na ludzkość otworzoną, inne też widnokresy przed nami rozszerza. Pani Seroa w przedmowie swej książeczki o dzieciach, dla starszych napisanej, kreśli wizerunek nowoczesnego dziecka, tyle różniącego się od dawnego typu — bo ten *bimbo moderno*, „to dziecko dni naszych wyrosłe z niezaspokojonego i szarpiącego się naprzód pokolenia, rosnące w atmosferze podrażnionej nerwowości lub sennego przygnębienia, dziecię, które widzi za wiele rzeczy, patrzy zblizka na wszystkie powszednie a domowe katastrofy, a zawiśle się uczy i dowiaduje rzeczy, to dziecko posiada przedwczesną, czułość i wrażliwość, i zarazem zbyt wyostzone

pojęcie. Nieraz, acz nieswiadomie, dziecko nowoczesne już nas zdumiewa pewnym sceptycyzmem rodzimym, obcem nam, cośmy mieli dzieciństwo o tyle zwyczajniejsze, a więc i o tyle weselsze. Dziecko dziś nadto przegląda rycin w pismach ilustrowanych, za wiele gazet ma pod ręką. Kiedy ojciec przed niem spokojnie rozmawia o samobójstwie, gdy stryj szydzi z religii, dziecko ucha nadstawia. A ztąd coraz nabiera większej zdolności do cierpienia, tem łatwiej nieszczęśliwem się czuje. Nieszczęśliwem zaś jest z powodu zubożalej krwi, którą swemu potomstwu wyrodzone przekazują plemiona; nieszczęśliwem dziedziczością suchot, obłąkania, rachityzmu, nieszczęśliwem skutkiem połączenia ubóstwa z opuszczeniem, a wraz i nieszczęśliwem z powodu podobnego opuszczenia w dostatkach; nieszczęśliwem w otoczeniu ludowej, niskiej nieuczciwości, wśród której mu żyć trzeba, nieszczęśliwem w atmosferze arystokratycznej nieuczciwości, którą mu oddychać przychodzi; nieszczęśliwem z przyczyny matki, wielkiej pani bez serca; nieszczęśliwem z powodu ojca artysty i samoluba; nieszczęśliwem z przyczyny matki, wielkiej pani bez serca, nieszczęśliwem z łaski wielu win naszych i grzechów. Uczy się to dziecko przedwcześnie kochać, cierpieć, udawać na podobieństwo starszych, a tak zespolonem bywa z naszym życiem, tak nieodłączną jest od nas częścią naszą, acz bardziej weselej tylko uśmiechnioną i czulszą, że często przezeń przychodzi nam zbawienie—czy zguba“.

Zagadkowe-bo to istoty, i autorka zda się ponawiać pytanie Krasińskiego w *Nieboskiej komedii*: „Czarcie maleńki, czemuś tak podobny do aniołka?“ — Bo — pisze pani Serao, jakże tu wytlómaczyć naturalną dobroć i tajemniczą złość dzieci, ich uśmiechy, w których całe prześwieca niebo, i gotowość do ugryzienia w gniewie starszej siostrzyczki, pieśczętę ich pogodnych oczu a furją ich gniewów zapamiętałych, głębokość niektórych odpowiedzi oraz instynkt zniszczenia, jaki w nich tkwi stale; jedną ręką ochotną dają jałmużnę ubogiemu, drugą ptaszekowi wydzierając skrzydła okrutnie do ostatniego piórka; sami z siebie dadzą ci niespodzianie najczulszy pocałunek, a ledwo podziękują za przyniesioną zabawkę. Kto zbada ich sympatyę nieuzasadnione lub nieuawisłości niczem nieusprawiedliwione? Przez wszystkie te sprzeczności, wobec sztuki i studyów dziecko może zaciekawiać tak samo, jak mąż w pełni młodej siły lub niewiasta w rozkwicie swej urody“.

Po tej głębszej przedmowie snują się nowelki, szkice, ledwo z lekka narysowane pastele. Impresjonizm przeszedł Alpy, i zadawałnia się najniklejszymi rysami, acz nie pogardza mnożeniem farb właściwych południowej mowie i temperamentowi. Każdy z nas mógłby napisać rozdział zatytułowany: *Gry i zabawy*, lub ustęp przenoszący nas do *szkoły*, bodaj ochronki najmłodszych dziewcząt. Dzieci Italii nie inaczej się bawią jak u nas, snuje się mruczek, ślepa babka, gra w chowanego, udane nabożeństwa i procesye lub opowiadania uciszające na chwilę dziecięcą wrzawę. Tylko nie każdy umiałby z taką prostotą i wdziękiem wznowić wspomnienia dziecińczych igraszek.

Pani Serao celuje w obrazkach z życia warstw ludowych i najuboższych. Znalazły się tu dwie nowelki pokrewne, smutne przerażające biedą, która się wychyla z prostego opowiadania. Bohaterka pierwszej z nich—to sierotka, żebrząca w jednej tylko ulicy niższego miasta, zadowolniona, gdy zaspokoi kilku tyrfami wieczny głód, co ją dręczy. Nie śmie ona przekroczyć granic nędzy, nie śmie zwrócić się ku wyższemu, świetniejszemu częściom stolicy, *Lassu*, tam w górze, dla niej zakłętą, niedostępną krainę. Raz jeden tam się zapuszcza, ale oślepiona ruchem, turkotem, nadmiarem światła, wpada pod koła przejeżdżającego pojazdu i ginie. Alboż ten ma być skutek zbliżenia się nędzy do dostatków? Nie chcemy pomawiać o podobną intencję autorki zupełnie obiektywnie kreślącej obrazki, bez żadnej tendencyjności społecznej. Liryzm komiczny, właściwy Dickensowi, przejawia się w dziejach innej dziewczynki, związanej przeznaczeniem...

ze swinką. Odkąd raz niebacznie zagubiła powierzonego swej pieczy prosiaka, opiekunka miłej Candy-Canitucci, — przywiązuje razem dziewczynkę i swinkę, jednym je łącząc powrozem, dla ubezpieczenia ich wspólnego na wieczór powrotu. I cóż, że prosiak rośnie, bryka, ucieka, zamęcza pasterkę? Tylko tym kosztem zabezpieczy sobie ona kawałek chleba przed nocą. Aż tu pewnego dnia przychodzą sąsiedzi, i pupil Canitucci idzie pod nóż, a cały dom cieszy się i używa przysmaków rzadkich dla ludzi nie często widujących mięsa. Biedna dziewczynka jak się przywiązała do swego tyrana, że acz przymiera głodna, nie chce tknąć się niczego, i ze smutkiem patrzy na krwawę w kuchni zabieg i biesiadę.

Wspomnieliśmy o nikłości tych urywków. Są między niemi tak wątle, iż sama autorka nadała im tytuł mgieł: *Nebulose*, lub tylko *profilów*, kreśląc niewyraźne wizerunki dziecięce. Rozdział zatytułowany *moda* pełno zawiera wskazówek, jak należy dzieci ubierać, odpowiednio do ich wieku, żywości, higieny. Znajdujemy tu uwagę oryginalną. Zwykle rozsądne pióra piorunują przeciw zbytniemu strojeniu dzieci, upatrując w tem niebezpieczeństwo na przyszłość. A tymczasem p. Serao widzi w tem raczej ubezpieczenie teraźniejsze dla matek. — Bo, jak twierdzi, może słuszenie, kobieta musi coś stroić, coś zdobić, jak nie dziecko, to siebie. „Zaczem nie mówcie, że gdy swe dziecię starannie ubierze, jest to tylko skutkiem reflexu własnej próżności, a raczej choćbyście to twierdzili, ciesze się i radujecie. Be nie jedna sukienka w domu uszyta, nie jeden kaftanik na drutach wykończony, nie jedna wyhaftowana koszuleczka lub obszyty koroneczką kołnierzyk, mógłby świadczyć zażegnanemu dramatowi, unikuionemu upadkowi, usuniętemu niebezpieczeństwu...“

Odrębne, głębsze znaczenie ma rozdział z luźnych złożony fragmentów, a zatytułowany: *I spostati*, jakoby wykołajeni, wyrzuceni z właściwego miejsca. A co takich między dziećmi. Oto np. wizerunek córeczki bogatego hotelisty, którą matka odumarała, a ojciec ubóstwa i psuje! Powierzona najstarszej kelnerce, z nią się włóczy po całym domu, od kuchni do sali jadalnej, po wszystkich pokojach, kurrytarzach, schowaniach. Dziesięcioletnia dziewczynka rośnie wśród tego zmiennego tłumu przyjezdnych i przejezdnych. Ma śliczne dwa pokoiki, ale gdy gości przybędzie więcej, musi nieraz własnego ustąpić mieszkania, nocując gdzie się uda, na pierwszym czy piątym piętrze. Lekcje kończy w salonie, wśród wieży babel angielskiej, francuskiej, niemieckiej rozmowy. Podróżni ją pieścżą, całują, żartują z nią, a ona już wprawna, nie okazuje nikomu niechęci, kłania się grzecznie, wie co komu powiedzieć. Tłum ten przesuwają się przed jej oczyma, a ona umie już grzecznie odprowadzać gości śląc mu rączką pocałunek, a wzruszając ramionami, ledwo zniknął. Zna już wszystkie hotelowe sztuczki, musy robione z krochmalu, kremy oszczędne z kasztanów, resztki mięsa przerabiane na farsze, frytury trzykrotnie używane, odpadki ze stołu odświeżone w pasztecikach, i śmieje się z dobrej wiary podróżnych. Ocenia już stopniowanie szacunku i grzeczności w służbie dla starej księżnej z świtą, dla bogatych nowożeńców, dla bankiera i deputowanego; nauczyła się gardzić biednymi co odrazu żądają izdebki na czwartym piętrze, którzy nie obiadują w hotelu, i mają w rezerwie własną świecę, ażeby hotelowych nie palić. Widzi mnożstwo rzeczy, obiegając kurrytarze i zakątki lub wpadając nagle do salonu lub pojedynczych numerów, zdybała nieraz podejrzaną nieporządku, podsłuchiwała nie jedną rozmowę wyszeptaną, podpatrzyła schadzki, dostrzegła panów malujących sobie wąsy, panie czeszące się w neglizu. Między swoimi słyszy same kombinacje chciwości, jakby najlepiej obedrzeć gości, z tą właściwą hotelnikom pogardą dla podróżnych. Dwa zaś wrażenia mocniej ją uderzyły i w pamięci zostały, w dziesiątym zaledwie roku życia! „Widzę jeszcze postać wysokiej blondynki, przyjmującej u siebie całe miasto, wyrzucającej pieniądze oknami, a nie placąc rachunku. Albo jeszcze twarz owego bladego

i wychudłego mężczyzny co pół dnia tylko gościł, wypił dwie szklanki wody, z nikim nie nie mówił, i w południe otworzył sobie żyły.“

Lepszy jeszcze jest wizerunek dziecka rozdzielonych niezgodą rodziców. „Żona mieszka na jednym piętrze, mąż na drugim, synek na trzecim. Razem obiadują, ale pan czyta gazetę, pani książkę, a synek spogląda w milczeniu, duże swe oczy otwierając to na ojca, to na matkę. Raz poraz tą ostatnią napadają gorętsze macierzyńskie zapale, a wtedy chce mieć dziecko przy sobie od rana do nocy. I wtedy chłopiec widzi, jak się matka maluje, pudruje, trefi nieraz na żarty, i jego różuje, nie bacząc jak go te wszystkie kosmetyki i perfumy mdlą i niepokoją. Wyjeżdżając na spacer, zabiera go z sobą do powozu, choćby bez paltocika, i długie trzyma godziny, nie bacząc, że zimno i chłodno. Odgrywa bo rolę przywiązanej matki, całuje namiętnie swe dziecię, pasie cukierkami, pyta: czy nie chce jakiej zabawki? Spotyka w alejach kilku młodzieńców, przystawa, rozmawia z niemi i śmieje się, a dziecko uszu nadstawia próbując wyrozumieć z czego. Nieraz wstępuje do jakiej znajomej, i zapomina chłopczyka w pojeździe, biedaczek nudzi się, czeka a stangret, który wie wszystko i sędzi, szemrze głośno i nie przebiera w słowach. Aż oto przez następne tygodnie matka zupełnie o dziecku zapomina, ledwo go rannym darząc pocałunkiem, odsyłając szybko pod pozorem nerwowego rozstroju. Bywają czasy, w których dziecko wcale matki nie widuje. Jako wielką łaskę, pokazuje się mu ona wieczorem w stroju balowym. Ale darmo synek wyciąga ręce ku tej pięknej postaci. Lęka się ona, aby nie zgniótł sukni, i zegna go zdaleka. Bywają też epoki istnego w domu przewrotu, same fety, bale, krawcy, krawcowe, kwiaty, muzyka, wrzawa. Nie śpi nikt ani jada o zwykłej godzinie, aż tu następuje niebawem okres samotności, zękania nerwów. Ojca niema w domu przez dzień cały, a nieraz i przez noc okrągłą. Co parę miesięcy rodzice wobec dziecka przychodzą do najgwałtowniejszej sprzeczki, grożą sobie nawzajem pełnym rozwodem. A chłopiec w przedpokoju i w kuchni szuka i słyszy wszystko co służba o rodzicach jego mówi.“

Ale dość tych urywków. Żeby dać lepiej poznać rodzaj talentu pani Serao, warto przytoczyć całość jakiej nowelli. W przedmowie autorka włoska wspomina, że dziecię stać się może narzędziem zguby lub zbawienia. Dwa też ustępy niniejszej książki noszą tytuł *Perdizione i Salvazione*. W pierwszym niebaczne słowo synka gubi matkę, wywołując słuszną ojca *vendettę*. W pierwszym chłopczyk gra nieswiadomie rolę opatrności.

„Po zachwytach gwałtownej namiętności w następujących godzinach poufalej rozmowy, gdy zwierzenia same w serca płyną, a miłość przybiera pozory przyjaźni, Flawia chętnie własne rozpamiętywała dzieciństwo, ów czas błogosławiony, słoneczny i słodki, pełen łakoci i pocałunków. Ta pomnwsienią zawsze ją rozrzewniały, i ze łzami mówiła o czułości, jaką ją własna otaczała niegdyś matka. Aż o to nagle ogarniało ją pewne zeszmętnienie, i złamanym głosem powtarzała: Mama, moja mama! Chcąc zaś rozproszyć smutne myśli, brała za ręce Cezarego, patrzyła mu w oczy i powtarzała:

— A teraz mi opowiedz o sobie, mój najdroższy.

Cezary się uśmiechał z zadowoleniem szczęśliwego człowieka, a puszczał dym z papierosa, odpowiadał:

— Byłem sobie chłopiec tęgi, gwałtowny i porwoczy. Ot i wszystko!

— I nic więcej?

— Nic zgola, *amore mio*.

— No, to mi opowiedz co o twoim synku,—dawała, przymilając się, Flawia.

Cezary spoglądał jakby z nieufnością. Ale widząc w oczach Flavii tyle pokornej ciekawości, tyle szczerzego uczucia, zapominał wnet chwilo-wego wahania. I wnet, z dumnym uśmiechem szczęśliwego ojca, opowiadał o synku swoim, nazwanym Paolo po dziadku, a który już nie dawał

się traktować jak dziecię, bo skończył całych lat dziesięć.

— A jakież ma włosy? czy takie jasne jak twoje? — pytała Flawia natrętnie.

— Jasne i kędzierzawe. Gniewa się kiedy go przesładowała, że chyba nosi peruczkę, czuły na każdą śmieszność, nie znosi, aby ktoś z niego żartował. Nie płacze, ale się mieni. Dąsa się w kącie, nie odpowiada na nasze wezwania. Miewa już swoje smutki, nie dziecka, lecz męża.

— Może jest delikatnego zdrowia, — mówi Flawia z spólcuciem.

(Dokończenie nastąpi).

LIST Z WIEDNIA.

Październik.

Każdemu znane są wrażenia, jakich się doświadczają po spędzeniu paru miesięcy w zaciszu wiejskiem, albo nawet w jakiejś miejscowości kąpielowej powraca się do wielkiego miasta. Naraz wszystkie zmysły ocucają się raptownie dawno nie doznawanymi bodźcami; z początku wrażenia mieszają się w głowie chaotycznie, doznaje się w pewnym stopniu nieprzyjemnego uczucia, coś jakby zawrotu głowy, a najbardziej cierpią: ucho drażnione turkuciem, i nos, nie tylko z powodu braku owego wiejskiego balsamicznego powietrza i zapachu, ale także z powodu tych różnych nagedyency, charakteryzujących wielkie miasto aż nadto dobrze.

Gdy się przybywa do Wiednia ze wsi niemięcej podrażnionym zostaje i zmysł wzroku. Doprawdy oko nie może napatrzeć się (chociaż tylekroć widziało) owym wspaniałym zabytkiem architektury nowoczesnej i patrzy znowu na nie jak na coś, co poraz pierwszy widzi, i doznaje ponownie imponującego wrażenia. Nie ulega wątpliwości, że Wiedeń pod względem architektonicznym przoduje dziś wszystkim stolicom świata. Jego Ringstrasse to jeden wielki monument budownictwa, który przynosi zaszczyt ojcom tego pięknego i wesołego grodu. Jeżeli Wiedeń nie dorównywa pod względem ruchu stołecznego Paryżowi i Berlinowi, jeżeli po godzinie dziesiątej przedstawia się nawet bezładnie, co stanowi wielce ujemną jego stronę, to za to dla amatora pięknych budowli jest nieporównanym. Zaczawszy od Opernhausu, dążąc na Burgring, spotykamy przede wszystkim klasyczny pałac cesarski, dalej dwa precudownie piękne muzea w stylu włoskiego renesansu, jeszcze dalej precudowny prawdziwie Franzensring z Parlamentem, nowym teatrem, ratuszem, uniwersytetem a w głębi nieporównany gotyk: Votivkirche, stanowiący istną koronkę wykutą z kamienia. Wreszcie Schottenring może służyć za wzór ulicy wspaniałej pod względem przepychu budownictwa. Przypomniawszy sobie pobieżnie ogólny wygląd Kaiserstadtu, przebiegłszy jeszcze Graben i Kärntnerstrasse, przyjrawszy się tu przepysznym wystawom sklepowym, wypada powrócić do szczegółów, a przede wszystkim bliżej przyjrzeć się muzeum zabytków sztuki, którego uroczyste otwarcie odbyło się w dniu 17 b. m. w obecności Cesarza i całego dworu.

Gmach ukończonym został jeszcze przed trzema laty i stanowi najdokładniejsze *pedant* do naprzeciwwstojącego muzeum przyrodniczego.

Twórcą tego arcydzieła w swoim rodzaju jest budowniczy wiedeński, znany już dawniej z budowy takich gmachów jak nowy Burgtheater, muzeum przyrodnicze i wielu innych, baron Hasenauer, którego cały świat artystyczny fetował w tych dniach w Grand-hotelu wspaniałą ucztą składkową.

Lecz wracajmy do uroczystości otwarcia muzeum i przyjrzyjmy się nieco bliżej samemu budynkowi, a wart on widzenia, doprawdy.

Uroczystość odbyła się nader wystawnie, Cesarzowi za przewodnika służył sam twórca tej wspaniałości, baron Hasenauer. Rozpoczęto obchód sal. Za Cesarzem postępowali arcyksiężęta i cały dwór.

Pominąwszy zbiory, których dotąd nie zdołano jeszcze zgromadzić w znacznej ilości, przyznać trzeba, że samo urządzenie w sobie stanowi już muzeum w swoim rodzaju: przepych niesłychany na każdym kroku, wszędzie marmury, brzozy, freski i precudowne malowidła.

Najbardziej zajmującą jest sala egipska, której ściany przyozdobione zostały przez Weidenbacha, mistrza prawdziwego we władaniu pędzlem w stylu egipskim. Zebrane tu przedmioty dają dokładny obraz rozwoju sztuki egipskiej. Dalej mieszczą się zbiory starożytności rzymskich, greckich i etruskich.

Wstępujemy po marmurowych schodach na pierwsze piętro, przeznaczone na galerię obrazów, a na którą głównie złożyły się arcydzieła przewiezione tu z galerii belwederskiej. Światło w galerii pada z góry, co bardzo dodatnio wpływa na płótna mistrzów sztuki malarskiej. Prócz wyżej wymienionej galerii znalazły tu miejsce arcydzieła ze zbiorów prywatnych monarchy austro-węgierskiego państwa.

Gdybyśmy zapragnęli wymienić szczegółowo obrazy Rubensa, Van-Dycka, Rafaela, zmieniłby się nasz list w katalog i z pewnością czytelnik nie byłby nam wdzięcznym za podobne bedekerowskie natchnienie, a nie posiadamy pióra zdolnego, aby pisać krytykę dzieł, które już zresztą prawie bez wyjątku okrzykiwano na wsze strony. Trzeba patrzeć i podziwiać, a kto nie ma w tej chwili sposobności do tego, znajdzie ją może jutro, może pojutrze i wtedy nasyci zmysł wzroku i zaspokoi potrzebę napawania się pięknem.

Wiedeń przygotowuje na rok przyszły nową uroczystość artystyczną, która tym razem przedstawia się w postaci wystawy muzyczno-teatralnej.

W ubiegłym tygodniu zebrało się w mniejszym lokalu Towarzystwa Muzycznego około 300 dam, przeważnie z *high life'u* wiedeńskiego, pod prezydencją księżny Pauliny Metternichowej, w celu obradowania nad programem owej wystawy, który został zakresłony bardzo szeroko. Rozprawy toczyły się przeważnie około *karoty*; arystokracja obymyśliwała sposoby, jakby można rozprzedać jaknajwiększą ilość biletów abonamentowych, a temsamem zapewnić wystawie powodzenie. Kto zna siłę woli w tym względzie księżny Pauliny, ten ani na chwilę nie powątpiewa, że przyprowadzi swój zamiar do skutku. Zresztą, jeżeli nawet nadzieje zostaną w tym względzie zawiedzione, niepodobna wątpić o poprawieniu się interesów kupieckich, do czego każda wystawa, ściągająca do stolicy obcych, wielce się przyczynia. A stagnacja jest wielka, bardzo wielka, pomimo pozornego ruchu i olśniewającego po wierze blichtru... no, ale tak jest i wszędzie prawie!

Powiedzieliśmy, iż program zakresłony został szeroko. Uczyniono to w tym celu, aby dać możliwość przyjęcia udziału w wystawie jaknajwiększej liczbie gałęzi przemysłu. Na wystawie znajdzie się teatr, mogący pomieścić około półtora tysiąca widzów, w którym produkować się będą artyści z całego świata. Znajdzie się tu opera, dramat, koncerty, prawdopodobnie i balet. Będzie to coś w rodzaju wieży Babel. Dziś śpiewać będą Włosi, jutro grać będą Francuzi, a pojutrze tańczyć Anglicy i tak aż do wygranania, wyśpiewania i wytańczenia wszystkiego.

W każdym razie myśl cudowna. Któż z nas bowiem nie mówi sobie: „Ach, jakżebym pragnął zobaczyć w tej roli Coquelina, jakże cudownie to musi śpiewać Patti“ i t. p. Otóż tutaj nadarzy się sposobność podziwiania na jednym miejscu, bez nadzwyczajnych wydatków, jakie za sobą pociąga każda podróż, artystów całego świata, naturalnie, jeżeli owa karota książęca nie przybierze zbyt wielkich rozmiarów; oile nam wiadomo, zanosi się na to bardzo, a rękojmią naszego twierdzenia jest ten fakt, że główne kierownictwo wystawy w części artystycznej dostało się poci pięknej w udziale.

W rotundzie głównej pomieści się wystawa muzyczna w porządku chronologicznym; znajdują się tam instrumenta wszelkiego rodzaju i czasu, a także i inne przedmioty mające związek z muzyką.

Pociągnie tedy pocziwy ludek na wiosnę do Wiednia, zaopatrując się *anticipando* w guldeniki, aby im dać możność przetoczenia się w kabzy, trochę dziurawę, właścicieli hotelów, restauracji, winiarni i bawaryi, przyczem naturalnie okrucy dostaną się przemysłowcom i fabrykantom, na których barkach główny trud spoczywać będzie uświetnienia wystawy.

Jeżeli bardzo wiele zrobiono w Wiedniu w celu upiększenia miasta, to istrona praktyczna niedługo otrzyma bardzo ważne uzupełnienia. Przedewszystkiem tedy zajęto się budową wielkich koszar poza obrębem środka miasta, a dawne koszary, mieszczące się obecnie na pryncypalnych punktach, zostaną skasowane, na czem skorzysta niemało sanitarny stan miasta.

Jak wiadomo granice Wiednia, skutkiem włączenia przedmieść, zostały znacznie rozszerzone. Gross-Wien zwiększył się co do przestrzeni znakomicie. Wprawdzie dostała mu się porządna porcja gruntów niezabudowanych, w każdym razie w obecnym stanie rzeczy, dotychczasowa komunikacja tramwajowa okazała się niedostateczną i skutkiem tego w niedługim już czasie rozpoczyna budowę kolei miejskiej, na wzór tej, jaką posiada Berlin.

Różnica polegać będzie na tem, że kolej miejska wiedeńska zbudowaną zostanie sposobem tunelowym, podziemia oświetlone będą elektrycznością, a arterye przerzynać mają miasta we wszystkich kierunkach.

Podczas gdy w Operze czynią się wielkie przygotowania do wystawienia, tym razem poważnej, opery Jana Strausa, teatr ludowy wystawił sztukę Wildenbrucha p. t. „Haubenlerche“, która cieszy się powodzeniem. Utwór ten, podobnie jak Ibsenowska „Wildente“ opiera się na tezie: że byt człowieka ściśle złączony jest z tem, co mu dał los i urodzenie. Wildenbrucha dzieło jednakże napisane jest w tonie optymistycznym i dla tego może przedstawiać się o wiele słabiej, aniżeli sztuka Ibsena.

Teatr Karola wystawił sztukę tłumaczoną z francuskiego pod tytułem „Paris fin de siècle“ napisaną przez pp. Bluma i Fouché. Składa się ona z epizodów przedstawiających z fotograficzną dokładnością życie paryżkie w wyższych sferach społeczeństwa. Brak w niej najzupełniej scen wiarygodności, brak tajemnic rodzinnych, które autorowie francuzcy w ostatnich czasach tak obficie szafowali. „Paris fin de siècle“ jest farsą wesołą i jako taka cieszyć się będzie z pewnością powodzeniem.

Wielkie wzburzenie w świecie sportowym wywołała szacherka, inaczej tego nazwać nie można żokejów. Panowie ci, pobierali z góry honorarium za przegraną i w ten sposób narażali na straty przede wszystkim swych chlebobawców, a następnie zakładających się. Skończyło się na wydaleniach z grona sportsmenów, — *und es bleibt alles... gemüthlich.*

G.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu i Moskwie mają być urządzane stałe wystawy robót więziennych, nadsyłanych z miast, gdzie więzienia te istnieją. Na początek odbędzie się w Petersburgu wystawa tych robót z północnego zakresu państwa.

— Konkurs Mierzwńskiego na posąg Moniuszki do przedsiönka Wielkiego Teatru roztrzygnięty został d. 5 Listopada. Cały skład sędziów, któremu przewodniczył Mierzwński, to jest p. p. Bogusławski Wład., Gerson Woj-

ciech, Struve Henryk, Żochowski Bronisław, stawił się w komplecie, i z pośród pięciu nadesłanych modeli otrzymał uznanie większości model pod godłem „Lira“ rzeźbiarza warszawskiego, Hipolita Marczewskiego. Posąg stanie między dwoma innymi: Królikowskiego i Żółkowskiego.

— *Księgarnia Krajowa* p. Konrada Prószyńskiego oraz redakcja *Gazety Świątecznej*, mieszcząca się od lat kilkunastu na Krakowskim Przedmieściu, zostały przeniesione na Nowy Świat do kamienicy N-r 26. Odkonano się następnie poświęcenie tych zakładów, dokonane przez Ks. Wojcieckiego. Każdy dbały o dobrze kierowaną oświatę klas ludowych powinon tu dodać: — Szczęść Boże!...

— W Przytulku przy ulicy Dzielnej dla przychodzących do zdrowia wyszłych ze szpitali mieści się dziennie około czterdzieści osób. Właściciel restauracji w hotelu Brühlowskim A. Liefeldt wydaje miłośniernie w Poniedziałki i Czwartki każdego tygodnia gorące śniadania dla 60 biedaków posiadających odpowiednie świadectwo War. Tow. Dobroczynności. Trwać to będzie przez zimę całą.

— Starożytny kościół Panny Maryi na Nowem Mieście otrzymał obok bardzo starannej restauracji wieży głównej, umieszczony na niej zegar o czterech tarczach, nabyty na wystawie czeskiej i uznany tam za wzorowy zegar wieżowy. Tak restauracja, jak i artystyczne, w odpowiednim stylu prowadzone, przyozdobienie świątyni wewnątrz, jest zasługą miejscowego proboszcza, Ks. Jungowskiego.

— *Gazeta Łódzka* przypomina czytelnikom swoim, że miasto fabryczne, więc zamieszkałe przeważnie przez ludność rzemieślniczą, nie posiada ani tanich kuchni, ani przytułków noclegowych, co zwłaszcza w obecnym roku przy podniesieniu cen żywności pociągać za sobą musi skutki bardzo smutne. Pojedyncze osobistości poczuwają się jedynie do chrześcijańskich obowiązków miłości bliźniego; towarzystwo akcyjne wyrobów bawełnianych Karola Scheiblera sprzedaje chleb w sklepie swoim spożywczym taniej o grosz na funcie, niż go nabywa u piekarzy, wszystkie zaś inne artykuły spożywcze sprzedają się w sklepie po cenach kosztu hurtowego nabycia. Podobnie Tow. Akcyjne Izr. K. Poznańskiego sprowadziło z dóbr właścicieli firmy 100 wagonów kartofli, które sprzedawane będą niżej cen targowych; Tow. Akcyjne L. Gayera otworzyło dla robotników swoich sprzedaż chleba tańszego o grosz, niżeli w piekarniach. W Pabianicach fabrykant Ender zakupił kilka tysięcy korcy kartofli dla robotników swoich, którym sprzedawać je będzie po połowie ceny kosztu, nadto wszedł w ugodę z pięcioma piekarzami miejscowymi o dostawę im kilkaset worów mąki żytniej dla wypieku chleba, sprzedawanego wyłącznie robotnikom jego fabryk po cenach o połowę tańszych od tary. Tenże sam p. Ender otwiera w wybudowanym przez siebie budynku szkołę dla dzieci zajętych w fabryce jego robotników. Dobry przykład wypromienia z siebie konieczne kierunki dobre i oto robotnicy fabryki też pabianickiej Kindlera wystąpili z prośbą do swego pracodawcy, aby otworzył również sklep spożywczy, bo nawet potracany im tu z ceny pracy procent od wydanego kapitału, niższym będzie od zysków kupna drogą zwyczajną. Tow. akcyjne fabryk żyrdowskich Hiellego i Ditricha już w połowie Lipca zniżyło ceny produktów spożywczych a głównie chleba i kartofli, grochu, ryżu i kasz

rozmaitych, oraz mąki w sklepach utrzymywanych dla użytku robotników.

— Grono osób dobrej woli ze sfer przemysłowych i inteligencji w Łodzi czyni starania, aby przy tamtejszem Tow. Dobroczynności urządzono czytelną bezpłatną na wzór istniejących w Warszawie przy ochronach.

— Operę Moniuszki *Straszny Dwór* przedstawiono z wielkim powodzeniem w Pradze; pisma tamtejsze chwala piękność i czystość melodyi.

— Uregulowanie placu przed budującym się w Krakowie gmachem nowego teatru kosztować będzie blisko trzydzieści tysięcy zł. reń.

— Krakowskie przytulki dla ubogich „ogrzewalnie“ utrzymywane przez miasto bardzo szczęśliwie wpływają na moralność tamtejszych sfer najuboższych. Zostając pod kierunkiem Adama Chmielowskiego, niegdyś znanego malarza, obecnie brata Alberta, tercyarza Franciszkanów, zaprowadziły bardzo szczęśliwie pomyślaną naukę różnych łatwych rzemiosł, za których wyroby pracujący biedak otrzymuje obok noclegu i posiłku pewne wynagrodzenie. Ogrzewalnie przyjmują tak kobiety jak i mężczyźni różnego wieku, a i to wpływa bardzo silnie na przyłożenie się tu do pracy tak mężczyźni, jak kobiet, że zarząd przytułków bierze wtedy pod dobroczynną opiekę swoją rodzinę pracującego, czy pracującej. Zarząd działa tu przez pobudkę szlachetnych czynników psychicznych, wydających tak szczęśliwe owoce, i spełnia też, obok chrześcijańskiego uczynku miłosierdzia dla ciała, akt miłosierdzia i dla duszy wspieranego przez siebie ubóstwa. Wykazy policyjne zaznaczyły też wielki postęp w moralności najuboższych i moralnie zaniedbanych klas ludności miasta.

— W Październiku odbyła się w Krakowie uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę dla zakładu moralnie zaniedbanych chłopców fundacji Ks. Alexandra Lubomirskiego. Akta poświęcenia dokonał Książę Kardynał Dunajewski.

— Pozwolonem zostało przez Namiestnictwo zbieranie składek na pomnik dla Alexandra Fredry. Pomnik ma stanąć we Lwowie; rzecz powstała z inicjatywy Lw. Koła Literackiego.

— Lwowski rzeźbiarz, Dykas, wykończył już i ustawił w swojej pracowni statuę Mickiewicza, wyrzeźbioną w kamieniu tarnopolskim a przeznaczoną na pomnik, mający stanąć w Przemyślu. Jednocześnie odsłonięto posąg Mickiewicza ustawiony w gmachu miejskiej szkoły lwowskiej. Przedstawia on poetę w postawie nieco pochyłonej, w płaszczu spływającym mu z ramion. Prawa ręka w dół opuszczona, trzyma księgę, lewa spoczywa na sercu. Posąg wykonany z kamienia karpackiego jest wysoki na dwa metry.

— Lwowska spółka wydawnicza, świeżo powstała we Lwowie, ma za cel wydawanie kosztownym swoim czasopismów, dzieł, broszur popularnych, treści literackiej i ekonomicznie społecznej, oraz założenie i prowadzenie na własny zysk lub stratę drukarni. Członkowie Towarzystwa płacą udziały swoje po 100 zł. reń., a jest to grono ludzi poważnych i budzących ufność, że przedsięwzięcie nie będzie prowadzone lekkomyślnie lub krzywo. Jest między nimi: Amborski, T. Romanowicz, Fr. Zima, Zacharyewicz, M. Lenartowicz, Merunowicz, St. Szczepanowski, Lud. Seroczyński.

— W Pradze Czeskiej poruszoną został

w dniach ostatnich zeszłego miesiąca zamiar utworzenia *Towarzystwa Popierania Czeskiej Pracy Hlas Narodu* donosząc o przedsięwzięciu, zachęca do popierania go, do łączenia się z jego celem zaopatrywania wszystkich potrzeb swoich wyłącznie przez czeską pracę we wszystkich jej kierunkach: przemysłu, sztuki, literatury. Przykład takiej wyłączności dają Niemcy, osiedli w Czechach, a zarówno i Węgrzy, którzy nie kupują nic i nigdy, tylko u Węgrów, nawet wtedy gdy przebywają w Wiedniu.

— Zjazd byłych uczniów czeskiego gimnazjum w Pradze na Małej Stronie odbył się w Październiku. Wezwanie zwracało się do wszystkich, którzy ukończyli gimnazjum w 1841 r., lecz stawiło się ich z 66, trzynastu jedynie. Trzecia ich część już nie żyje, inni czy o zjeździe nie wiedzieli, czy przybyć nie mogli. Naznaczono zjazd następny za lat dziesięć.

Encyklopedia Ilustrowana

MEDYCYNY I HYGIENY

POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

D-ra Józefa Starkmana.

Zeszyt XXIX-ty wyszedł z druku i zawiera między innymi: **Welocyped, wezykatorya, wiek dorastania, wiek dziecięcy, wieś, wilgoć, wilk, wino, wiosna, wiosnowanie, włosień, włosy, woda, wodna puchlina, wody mineralne, wścieklizna i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincji nadsyłać po rubli 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9 kop. 50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 6-ty tomu II powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

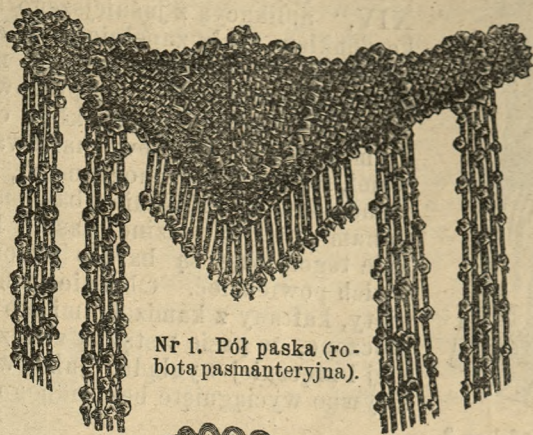
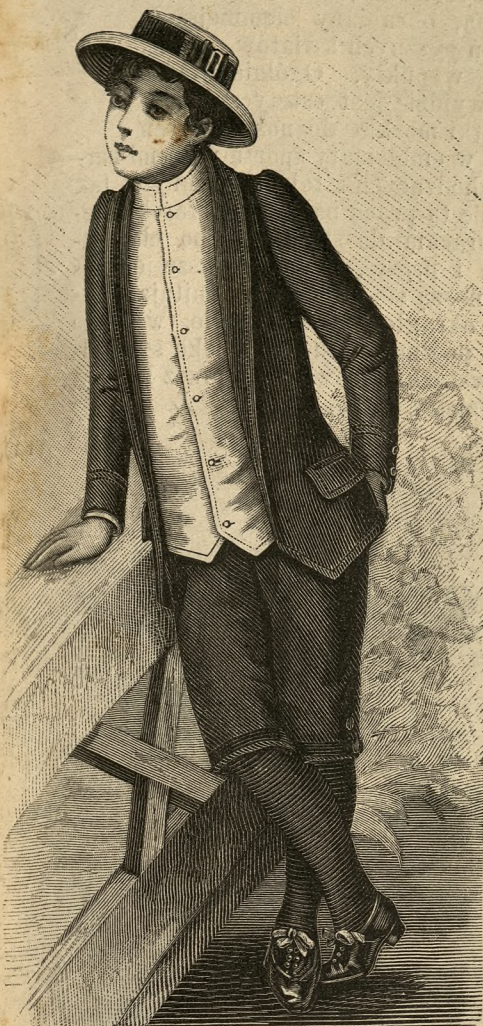
TREŚĆ: Wychowanie, przez M. I. — Droga przez las. Powieść, przez Autorkę „Na starym gruncie.“ — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Korrespondencya zagraniczna (Kraków). — Małe duszyczki. (Piccole Anime) przez M. — List z Wiednia, przez G. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty tomu II powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 2 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 30 Октября 1891 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.



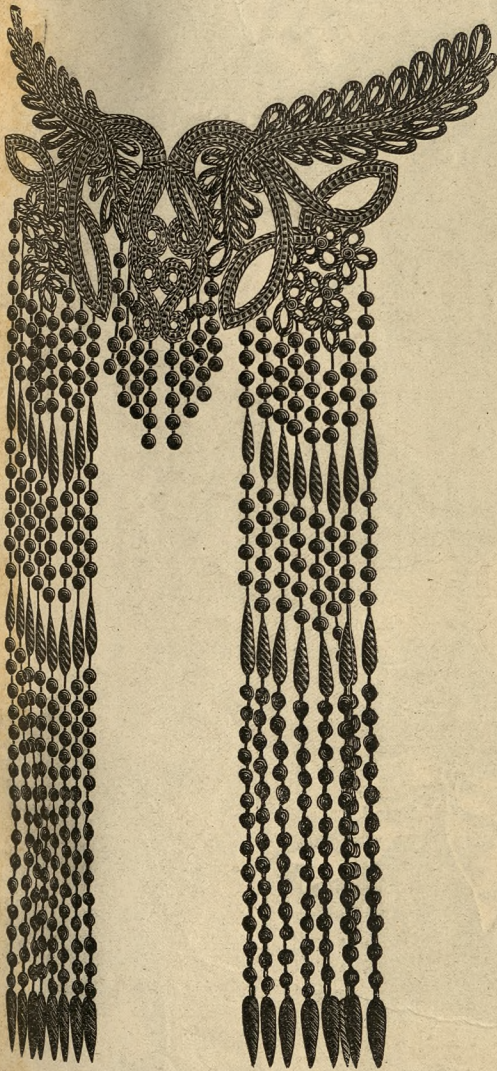
Nr 1. Pół paska (robota pasmanteryjna).



Nr 2. Kołnierz (robota pasmanteryjna).

odpasowane, rautowe dla tej części swej klienteli, która zawsze bez przerwy żyje w świecie zabaw. Wszystkie są gładkie; kaszmir lub „drap des dames“ służy na tło. Wiadomo, że są dwa gatunki „drap des dames“, „petit drap“, lżejsze i grubsze prawdziwe sukno, otóż te suknie odpasowane są głównie na tych dwóch gatunkach, do każdej z nich dołączono wzór, jak haft zastosować. Rodzaj i kolorów zaś jest tak wiele, że doprawdy ze zdziwieniem zapytywałam kto wobec naszego ciężkiego stanu finansowego wykupi te wspaniałe suknie? na to odpowiedziano mi: znajdują się tacy. Kilka sukien w różnych odcieniach heliotropu było z odpasowanym całym stanikiem na ciemniejszym aksamicie haftowanym kolorowymi kordonkami, spódnica jaśniejsza gładka np. koloru „cocher“ liberya a stanik z długą baskiną aksamitną, w tym rodzaju były różne a różne odmiany. Drugim rodzajem były suknie ze szlakiem aksamitnym w dole gładkim na 20 cen., zakończony w górze w spiczasty deseń kilkoraki, zahaftowany przodkami odpowiedniego cienia, a były wszystkie cienie, blado-zielone sukno, aksamit ciemny w perełki w kilku cieniach, prześliczne były odmiany w kolorach „heliotrop“, sukno jasne, szlak ciemny a haft kordonkowy i perełkowy w ślicznych świecących barwach. Na niektórych odznaczono były rękawy w górze haftowane, pasek formy szwajcarskiego mankiet, na innych plastron. Odmian tych kilkadziesiąt naliczyłyby można; odznaczała się stalowa, ze szlakiem aksamitu i perełek „elétrique“, mogłabym na tem skończyć, a jednak jeszcze coś jest do nadmienienia. Do ozdoby gładkich sukien przywiózł pan Makowski galony na tiulu, haftowane perełkami, co daleko lepiej i śliczniej się prezentuje jak haft z kamieni, poczęści już w tym roku zarzucony, bo kto ma to i nosi; paski metalowe wszelkich rodzajów zawsze modnie kończą toaletę. Jeszcze tylko jedną wspaniałą wspomnę: na tle sukno „drap des dames“, szlak ciemno-aksamitny a ponad nim bukiety gwoździów z pereł i liści haftowych w tymże cieniu. Jako wielką nowość pokazywano nam

Nr 4. Ubranie dla chłopczyka od 9—11 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 17—24).



Nr 3. Pół paska (robota pasmanteryjna).

PRZEGLĄD MÓD.

Suknie rautowe, pasowane, haftowane perełkami jako nowość u p. Makowskiego.—Szlaki i paski.— Jeszcze o fasonach sukien.—Hafty perełkowe.—Haftarnia p. Bobrowskiej.—Wstążki wiązane zamiast pasków.

Właściciel znanego magazynu blawat-nego pan Makowski, powróciwszy z Pa-ryża przywiózł z tamtąd śliczne suknie



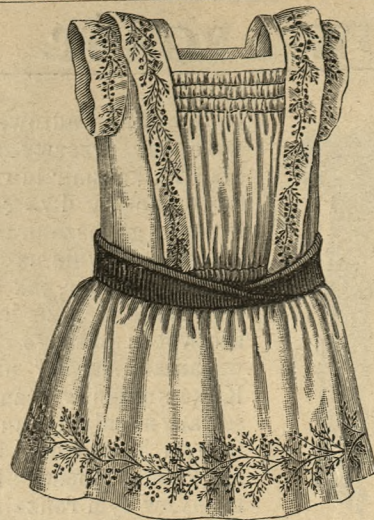
Nr 5. Suknia wieczorowa dla starszej osoby (do ryc. Nr 11 w Bl. Nr 45). Opis odwr. str. tabl.

Nr 6. Suknia wieczorowa dla młodszej osoby. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 7. Suknia wieczorowa z bengaliny z haftem stalowym (do ryc. Nr 15).



Nr 11. Paltot ozdobiony sutasem.
(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 28—43).



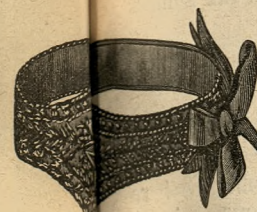
Nr 8. Sukienka dla dziecka od 1—2 lat (do ryc. Nr 9). Krój i desen pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25—28.

piasek. Druga sukienka przygotowana dla pierwszej pracowni pana Herzego, będącej pod kierunkiem krojczyni panny Walentyny była z popielatego wygoniu, haft był na kamizelce „Ludwik XIV.” aplikacją z jaśniejszego sukna, obrabiany ciemniejszym kordonkiem, cały zapelniony w deseń pysznych kwiatów, całość przedstawiała śliczny rysunek niby wypukły. Ogólnie wiadomem jest, że co tylko z tej pracowni wyjdzie jest estetycznie piękne. Widzieliśmy naprzykład chustki męskie do nosa w deseń „ramagé” kilka kolorów, haftowane w emblematy sportu różnemi barwami, fantazyja w monogramach, wychodzących z tej pracowni jest tak różnorodna, że oglądanie i bawienie się tą pracą naszych haftarek zajęło nam przeszło godzinę czasu. Powracam do staników, bo choć suknie tegoroczne są bardzo skromne i proste, jednak zawsze jest coś o nich powiedzieć. Obecnie staniki noszą się albo długie imitujące żakiety, kaftany z kamizelkami lub też okrągłe, zawsze długie, w stanie otoczone, w pasie wstążką związaną podług gustu, co daleko swobodniej i zręczniejsz wygląda, jak owe wstążki przewlekane przez klamry, sztywno wyciągnięte bez żadnego wdzięku.

L. C.



Nr 9. Wstążki do ryc. Nr 8.



Nr 10. Półpaski ozdobiony haftem.



Nr 13. Kapelusz z aksamitu.

Czapeczka dla chłopczyka rocznego (robotą szydełkową).

Rycina Nr 22 w Bl. Nr 45.

Czapeczka wykonana włóczką „zeffir” koloru białego szydełkiem ścisłymi oczkami. Rozpocząć robotę od środka na założeniu 5 pow. ocz. złączonych w kółko 1 ścis. ocz. — 1 kolej: 3 pow. ocz., 13 słupków w kółko i 1 ścis. łan. ocz. w 3 pierwszych 3 pow. ocz. — 2 kolej: ciągle 1 ścis. o. w każde o. — 3 kolej: 7 razy naprzemian 1 ścis. ocz. w następne o. wykonać przybranie czyli 2 ścis. o. w następ. o. — 4 kolej: ciągle 1 ścis. o. w każde o., ale w 2 ścis. o. wykonać przybranie 2 ścis. ocz. — 5 kolej do 29 jak poprzednia. — 30 kolej: ciągle 1 ścis. o. w każde ocz., ale 2 ścis. ocz. wykonane dla przybrania, należy razem przerobić. — 31 kolej: ciągle 1 ścis. ocz. i stosownie do formy ujmować. — 32 do 46 jak poprzednia. — 47 do 53 ciągle 1 ścis. o. w każde ocz., poczem, ze strony odwrotnej na ocz. poprzedniej kolei wykonać na brzeg wyłożony 9 kolei ścis. o. a następnie jedwabiem, zaczawszy od góry w poprzeczne żyłki 2 o. każdego przybrania i w żyłki razem przerobione każdego ujęcia 1 ścis. o. i jak wskazuje ryc. po rogach kilka o. jednym przerabiać. Nakoniec brzeg otoczyć kilku podobnemi kolejami.

Półpaski i kołnierze „Médicis” (robotą pasmanteryjną).

Rycina Nr 1—3.

Wyroby pasmanteryjne ze sznurków jedwabnych kolorowych lub czarnych przerabiane perełkami, bardzo odpowiednie do używanych obecnie spódnic gładkich.

Ubranie dla chłopczyka od 9—11 lat.

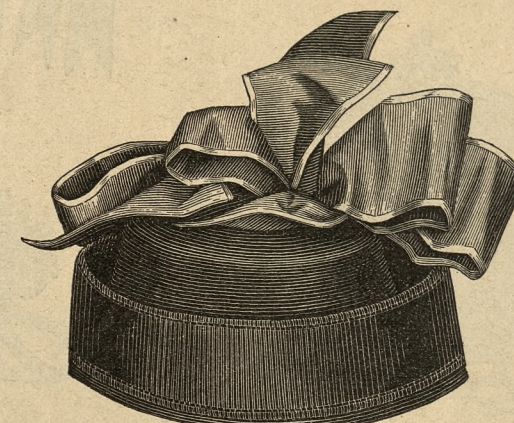
Rycina Nr 4. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 17—24).

Ubranie z sukna koloru granatowego z kamizelką z sukna białego, którą można zastąpić kamizelką

granatową. Skrajać z sukna i podszewki fig. 17 (po dopełnieniu złożonych fig.) po dwie części; zeszyć podług cyfr przednie i tylne części, w przednich wykonać szew od 44 do 45, w tylnych od 44 do 46. Do lewej przedniej części podług wskazówek przyszyć klapkę z dziurkami, do prawej odpowiednią z guzikami. Wszyć od 40 do 41 kieszeń i dolny brzeg otoczyć paskiem 2 c. szer. a 32 c. dług., przyczem przy zgięciu kolana nieco nadmarszczyć. Przyszyć pasek do sprzączki i wykonać w górnym brzegu dziurkę do zapinania. Kaftanik skrajać (po dopełnieniu figury złożonej) fig. 20 z białego sukna dwie części. Fig. 21 jedną część złożoną wzdłuż środka; z sukna granatowego fig. 22 i 23 po dwie części. Fig. 24 z uwzględnieniem konturu spodniej części rękawa. Zaopatrzyć czę-



Nr 15. Przednia część sukni Nr 7.



Nr 14. Kapelusz z filcu.



Nr 12. Paltocik dla chłopczyka od 7—9 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 44—47).

ści podszewką, przednie części obłożyć materiałem na kilka cent. poza linią kropkowaną. Wykonać szew od 51 do 52 oraz nacięcia wzdłuż podwójnej linii, wszyć w takowe kieszenie i ozdobić klapkami. Zeszyć plecy i przednie części podług cyfr, przyszyć kołnierze i wyłożyć z przednimi częściami razem wzdłuż linii zgięcia. Rękawy zeszyć podług cyfr, ozdobić guziczkami i wszyć w kaftanik. Wzdłuż gładkiej linii w przedniej części przyszyć listewkę z dziurkami od 49 do 50 i odpowiednie guziki do kamizelki do umocowywania takowej. Kamizelka spięta na dziurki i guziczki i przypina się do kołnierza na guzik umocowany w środku tylnym.

Suknia z bengaliny ozdobiona haftem stalowym.

Rycina Nr 7 i 15.

Suknia z bengaliny koloru „Edison” w dwóch cieniach, przyozdobiona haftem z nici stalowych ciemniejszych i jaśniejszych. Spódnicą gładką z trenem powłóczystym. Boczne klipy plisowane z krepy fałdowanej w kolorze sukni. Stanik „Louis XIV” z połami, koloru ciemniejszego, z kłapkami aksamitnymi po bokach. Kołnier „Médicis” również z aksamitu a kołnierzyk stojący z bengaliny jasnej.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa Oxs-tail z ogonów wołowych.
2. Naleśniki z móżdżkiem.
3. Poledwica z makaronem.
4. Kalaflory.
5. Zając z sałatą z czerwonej kapusty.



Nr 22. Bluzka ozdobna. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1—9).

materiał marszczony, cały w paski w odstępach jednego centim. zwany „gaufré”. Niewiemy, czy przy obecnej stagnacji śliczne rantowe suknie znajdują nabywców, ale cóż, kiedy pan Makowski lubuje się w swoim towarze, który osobiście wybiera w Paryżu i lubi mieć wszystko co tylko nowego zobaczy. A teraz jeszcze o fasonach, o których powiem w sekrecie, że na przyszły sezon bufiaste rękawy mają zarzucić. Do codziennego ubrania, na ulicę i w domu paryżanki noszą suknie proste, dotykające tylko ziemi, proste, znaczny z prostych brytów, jak je nosiliśmy od paru lat tylko tylny bryt w przedłużeniu, długie suknie z trenem tylko w pokoju, trudno jednak to pogodzić, bo mając na sobie suknię w klipy z trenem, przebiegać się wychodząc naprzykład kilka razy na dzień. Jedyną radą na to są haczyki, bo paskami tego nazwać nie można, sprowadzone przez pana Herzego; na stalce 20 cent. długiej przyszyte są dwa haczyki duże, na drugiej teżże długości dwie duże haftki czyli kółka, które z wielką łatwością przez rozporek sukni zacząć się dają za jednym ruchem ręki. Co do kolorów, to modny dziś kolor popielaty, staje się elegancki przez właściwą sobie dystygę. Suknie nawet wełniane bardzo wiele haftują dzetem, już nie dużemi kamieniami jak w roku zeszłym, ale drobnymi ledwie widzialnemi, ale tak ciętymi, że błyszczą jak kryształ. Widzieliśmy w pierwszej naszej haftarni naturalnie panny Bobrowskiej śliczny model jasno-popielatej sukni z podkładanym haftem na czarnym suknie błyszczącym jak djamentowy

Nr 21. Tylne części sukni Nr 17 w Bl. Nr 45.

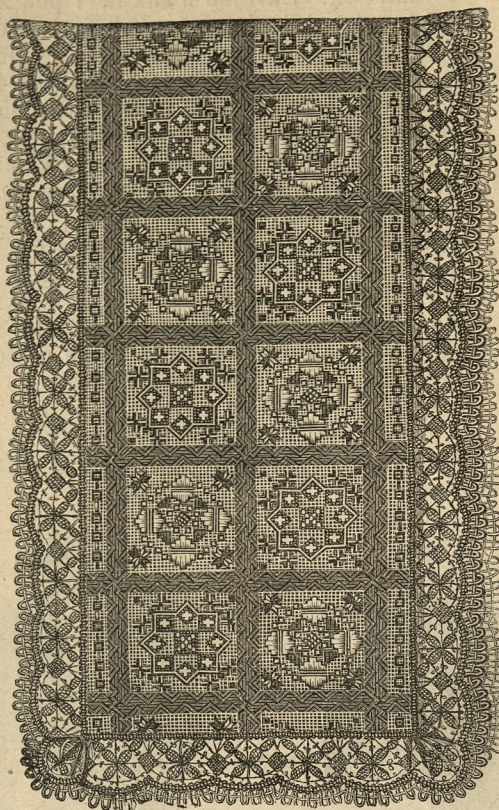


Nr 16—20. Kapelusze jesienne i zimowe.

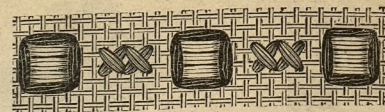
KORESPONDENCYA.

Odp. pani Fel...

1) Można obrać każdy dzień na zebrania tygodniowe, nie widzę powodu, dla czegoby Niedziele nie można. 2) Naturalnie, że co tydzień nie bywają jedni i ci sami. 3) Można co dwa tygodnie przyjmować — mówi się wtedy: „co każdy wtorek po 1 i po 15, lub po 10 i po 25. 4) Jak się zawiązują stosunki między zebranymi? trudna odpowiedź! prezentuje się wzajemnie, gospodyni zaczyna rozmowę, po chwili oddala się do innych gości, reszta zależy od wykształcenia wzajemnego. 5) Na bal wprowadza mąż żonę a nie córkę. 6) Grzeczność jest zawsze obowiązującą, więc się dziękuje za obiad lub kolację gospodyni. 7) Nierozumiem co znaczy „dzieci dorosłe“, w jaki sposób mają rodzicom dziękować, to jasne jak słońce. 8) Przekąski zawsze się w jednakowy sposób podaje, czy na większą, czy mniejszą ilość osób. 9) Pan domu zawsze może nalewać wino, czy jest lokaj, czy go niema, bo wie komu i jakie nalać, służba zaś rozlewa często bez potrzeby, żeby następnie pozostałe wypić. 10) Dla czegożby kobiety nie miały również jadać przekąsek. 11) Herbatę i kawę ze śmietanką, czy można podać w jadalnym pokoju? naturalnie, herbatę tylko z ciastem można podać w salonie. 12) Na tygodniowych zebraniach kawy się nie po-



Nr 23. Podłużna serwetka
(ścieg płaski i krzyżowy) do ryc. Nr 25, 26 i 28.

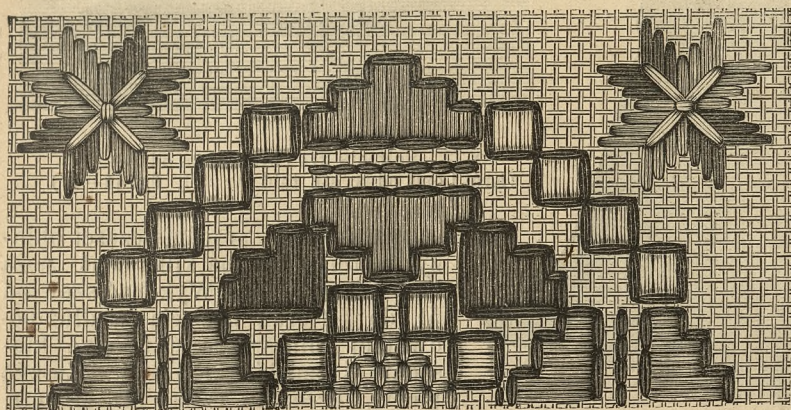


Nr 25. Galonik do ryc. Nr 23.

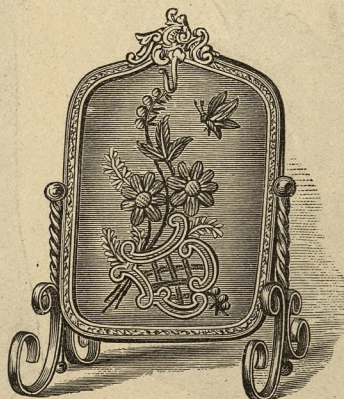
daje przed kolacją, a herbatę można podać raz przed kolacją czy przekąską, a drugi raz koniecznie przy zimnej kolacyi.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru *Bluszczu*.



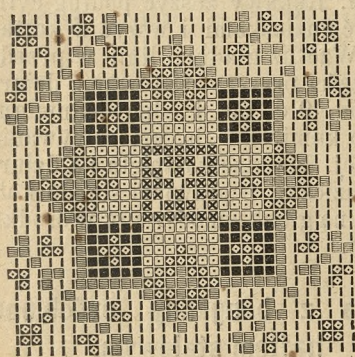
Nr 26. Część haftu płaskiego do ryc. Nr 23.



Nr 24. Postumencik do zegarka
(do ryc. Nr 29).



Nr 27. Postumencik do robót ozdobiony haftem.



Nr 28. Deseń do ryc. Nr 23. Pięć odcieni koloru „terrakota“ tło (robota krzyżowa)



Nr 29. Haft do ryc. Nr 24.



Nr 30. Haft na poduszki, saszetki i t. p.